

Promocja albumu

OKRUCHY PAMIĘCI



LIMANOWA
NA STAREJ FOTOGRAFII

Echa promocji albumu
- „Okruchy pamięci”

Z perspektywy przeżytych lat
- o tomiku poezji
„Nasz dom”

Tyle lądowań, ile startów
- kapitan Ryszard Jaworz-Dutka

Rektor bez karakułów
- rozmowa z rektorem
Antonim Tajdusiem

Górale mają takie „jo”
- wywiad z Arturem Więckiem

Różne uroki Afryki
w jednej wyprawie cz. II

Z albumu
rodziny Kłosowskich

Wspomnienia
o Józefie Staniszewskim

Historia dworu
w Mordarce

Promocja albumu „Okруchy pamięci. Limanowa na starej fotografii”



**Sala widowiskowa
Limanowskiego Domu Kultury
8 lutego 2009 r.**



Fotografie: Franciszek Natanek



Ilona Machowicz-Jurowicz

Powrócił urok dawnych lat...

- promocja albumu „Okruchy pamięci”

Klimat galicyjskiego miasteczka z czasów belle époque, radosny nastrój lat dwudziestych i trzydziestych, znaki zapowiadające nadejście nowych czasów stworzyły wyjątkową atmosferę towarzyszącą promocji albumu „Okruchy pamięci. Limanowa na starej fotografii”.

W niedzielny wieczór 8 lutego w sali widowiskowej Limanowskiego Domu Kultury młodzież I LO pod kierunkiem Jolanty Bugajskiej przedstawiła widowisko „Odnaleziono to - co wydawało się pogubione...” Głównymi bohaterami tego widowiska były wybrane zdjęcia z albumu, które pojawiały się na panoramicznym ekranie. W czasie projekcji nastrój uzupełniały fragmenty wstępu do publikacji autorstwa Jerzego Bogacza. W tle rozbrzmiewały dźwięki fortepianu oraz melodie bliskich sercu piosenek.

Pomostem łączącym przeszłość i współczesność stał się recital Jagi Wrońskiej, piosenkarki „Loch Camelot” nazywanej polską Edith Piaf.



Fot. Jakub Toporkiewicz

▶
Czytane przez młodzież fragmenty wstępu do albumu uzupełniały nastrój w czasie projekcji fotografii.

Fotografie na stronie 2:

Fot. 1 - Recital Jagi Wrońskiej, piosenkarki, kompozytorki, poetki, gwiazdy krakowskiego kabaretu „Loch Camelot”.

Fot. 2 - Osoby, którym wręczono medale „Przyjacieli Miasta”. Stoją od prawej: Stanisława Winiewska, Krystyna Bączkowska-Cynke, Maria Kazimierzczak, Stanisław Ocieпка oraz wręczający Marek Czeczotka, Ryszard Kulma i Jolanta Szyler.

Fot. 3 - Zespół redakcyjny albumu. Stoją od lewej: Jolanta Szyler, Stanisław Ocieпка, Jerzy Bogacz, Stefan Bugajski, Zbigniew Dutka, Dariusz Ocieпка wraz z przewodniczącym Rady Ryszardem Kulmą i burmistrzem Markiem Czeczotką.

Fot. 4 - W czasie promocji po raz pierwszy przeglądano album z dużym zainteresowaniem.



Widowisko „Odnaleziono - to co wydawało się pogubione...” zaprezentowała młodzież I LO pod kierunkiem Jolanty Bugajskiej.

Ożywiony świat starych fotografii

Wybrane do pokazu fotografie (105) prezentowały kolejne działy albumu. W dwunastu rozdziałach, jak w 12 miesiącach roku, twórcy wydawnictwa zgromadzili zdjęcia, stanowiące pełny obraz Limanowej i jej mieszkańców od schyłku dziewiętnastego wieku aż po lata sześćdziesiąte (przebudowa rynku na początku lat siedemdziesiątych na trwałe zmieniła charakter miasta).

Uczestnicy widowiska obejrzeliby zdjęcia przedstawiające krajobraz, rynek jako miejsce szczególne, uliczki i zaułki, codzienne zajęcia i rozrywki, różne sposoby spędzania wolnego czasu. Nie zabrakło też fotografii będących świadectwem „żywej wiary” - kultu Matki Bożej Limanowskiej, w tym unikatowych zdjęć z czasów budowy kościoła, koronacji limanowskiej Piety. Miasta nie oszczędzały również klęski, stąd w pokazie pojawiły się fotografie z bitwy pod Limanową i z czasów II wojny, światowej oraz zdjęcia dokumentujące pożary i powódź z 1934 roku. Dużo uwagi poświęcono mieszkańcom tworzącym wspólnotę Polakom i Żydom oraz postaciom twórców życia kulturalnego, oświaty i nauki, patriotom, organizatorom uroczystości narodowych.

Poszczególne zdjęcia objaśniał komentarz ze wstępu do albumu napisany ciepłym, gawędziarskim stylem przez Jerzego Bogacza.

Wzruszający nastrój tworzyły dźwięki muzyki fortepianowej oraz melodie dawnych i współczesnych piosenek; „Przy kominku”, „Polskie drogi”, „Dziwny jest ten świat”.

Bardzo znamienne są słowa kończące pokaz ze wspomnianego już wstępu, mówiące o znaczeniu starych fotografii: *Zachowały się na nich obrazy życia i dokonań naszych przodków. Rejestrowano je niegdyś na szklanych płytkach, potem długo na celuloidowych błonach. Teraz zostały prze-*

niesione na elektroniczne nośniki i wydane drukiem. W dziedzinie techniki i technologii zmieniło się wiele - w istocie rzeczy nic. Rangę wciąż nadaje fotografii czas w niej uwięziony. I on właśnie wypełnia karty tego albumu.

W podziękowaniu twórcom...

Liczący 320 stron album, zawierający 648 opisanych fotografii to wspólne dzieło wielu osób, zespołu redakcyjnego, władz miejskich - wydawcy albumu, przedstawicielei rodów limanowskich, którzy przechowali zdjęcia i zgodzili się je bezinteresownie udostępnić - to około stu ofiarodawców, reprezentantów różnych instytucji (zainteresowanych historią powstania wydawnictwa odsyłam do poprzednich numerów „Echa”). Promocja albumu stała się więc okazją do podziękowania tym, którzy tworzyli i współtworzyli „Okruchy pamięci”.



Wrażeniami z pracy nad albumem podzielił się Jerzy Bogacz.

Pracę zespołu redakcyjnego w składzie: Jerzy Bogacz, Stefan Bugajski, Zbigniew Dutka, Dariusz Ociepka, Stanisław Ociepka, Zbigniew Sułkowski, Jolanta Szyler docenił burmistrz Marek Czeczotka, który przekazał okolicznościowe listy z podziękowaniami. W sposób szczególny Rada Miasta wyróżniła osoby, które otwały rodzinne archiwa i przekazały bogate zbiory unikatowych zdjęć: Krystynę Bączkowską-Cynke, Helenę Dutkę, Marię Kazimierczak i Stanisławę Winiewską.

Uchwałą Rady Miasta zostały im nadane tytuły „Przyjaciel Miasta Limanowa”. Tytułem tym uhonorowano również Stanisława Ociepkę, pomysłodawcę powstania albumu, który koordynował prace wydawnicze.

Burmistrz miasta Marek Czeczotka podarował pamiątkowe wydania „Okruchów pamięci” przedstawicielom różnych środowisk. Byli to między innymi przedstawiciele władz samo-



W imieniu zaproszonych gości głos zabrał ks. prałat Jan Bukowiec.

rządowych gminy i powiatu, kościoła katolickiego z ks. prałatem Józefem Porębą - kustoszem Bazyliki MBB, ks. prałatem Janem Bukowcem - budowniczym kościoła pw. św. St. Kostki w Sowlinach i wieloletnim proboszczem tamtejszej parafii, o. Dominikiem Orczykowskim z zakonu kapucynów, dyrektorem szkół i instytucji, którzy użyczyli zdjęć ze zbiorów, Leszko wi Zakrzewskiemu - prezesowi Polskiego Towarzystwa Historycznego w Nowym Sączu oraz przyjaciółom Limanowej: dr Elżbiecie Wojtas-Ciborskiej, prof. Janowi Jeżowi, prof. Andrzejowi Kuligowi, dr. Józefowi Szymonowi Wrońskiemu.

Goście nie kryli wzruszenia, podkreślali znaczenie wydawnictwa, jego patriotyczny, historyczny i osobisty charakter. Dla limanowian album stanowi kronikę rodzinną, u starszych wywołuje wspomnienia, dla młodego pokolenia jest źródłem wiedzy o historii miasta. O bardzo dużym zainteresowaniu albumem świadczyła wypełniona po brzegi sala LDK, wzruszenia i skupienie podczas prezentacji starych fotografii oraz żywa reakcja publiczności.

(ciąg dalszy na stronie 28)



Burmistrz Marek Czeczótka składa podziękowania paniom Małgorzacie Palińskiej i Małgorzacie Ociepcie, współpracującym z zespołem przygotowującym album.



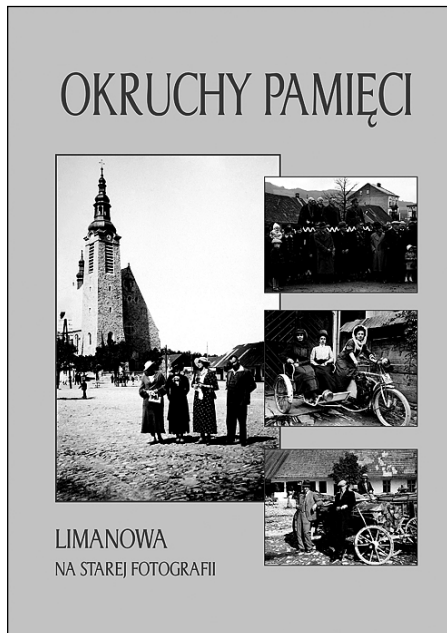
Recital Jagi Wrońskiej - przy fortepianie Jarosław Hanik.



Burmistrz miasta podarował albumy przedstawicielom władz samorządowych gminy, powiatu, kościoła katolickiego oraz przyjaciółom Limanowej.

Korzenie i skrzydła

Otrzymałam z Limanowej album fotograficzny pt. „Okruchy pamięci. Limanowa na starej fotografii”, obrazujący historię miasta w XX wieku, wydany na przełomie 2008 i 2009 roku. Pachnie jeszcze farbą drukarską. Przeglądałam go od ręki kilkakrotnie. Będzie on ozdobą każdej domowej biblioteki.



Redaktor Stanisław Ociepka, inicjator i koordynator prac wydawniczych w jednej osobie, może mieć powód do satysfakcji. Jest to tym wartościowsze, że droga od pomieszanego stosu zdjęć, do zwanego albumu była zapewne prawdziwie wyboista. Trzeba było wszak na początek uruchomić wyobraźnię miejskich włodarzy, by po raz kolejny sfinansowali książkę o mieście, ale przede wszystkim społeczną energię, by tym sposobem trafić do serc limanowian, by ci z kolei nie żalowali albumów, skrytek i...strychów czy piwnic. I – przy akompaniamencie artykułów w „Echu Limanowskim” oraz w „Almanachu Ziemi Limanowskiej” - zaczął się ruch... Jak zwykle przy limanowskim pospolitym ruszeniu efekty przerosły zamierzenie. Jak słycać, zebrano około czterech tysięcy dokumentów czasu, zaklętych w kadrze. Warto je - prawem rozpędu i nowych możliwości – wyeksponować w Internecie w osobnym miejskim linku.

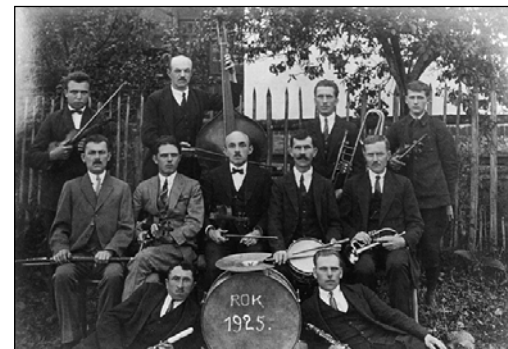
Wyciągnięto bowiem na światło dzienne najbardziej skrywane pamiątki, bardzo już przez ząb czasu nadgrzyzione, trwalsze jednak od kataklizmów, będących udziałem miasta w poprzednim stuleciu.

I tu bezcenne okazały się dalsze prace zarówno zespołu redakcyjnego, jak i Dariusza Ociepki, mistrza w nowoczesnym retuszu, który sfatygowanym, migawkowym, wyblakłym, a nieraz też połamanym zdjęciom, przywrócił ostrość i blask. To prawdziwie imponujące zaskoczenie!

Przy okazji tej pracy pan Dariusz Ociepka, z zawodu nauczyciel, dał dowód żywej kontynuacji artystycznych tradycji limanowskiej inteligencji. Jego to bowiem dziadek, Stefan Ociepka, stworzył znakomity teatr przy limanowskim starostwie, potem rozwinięty w Teatr Ziemi Limanowskiej. Teatr jest w albumie doskonale wyeksponowany. Już w 1945 roku, reżyser i aktor Stefan Ociepka, wystawił „Jasełka”. Było to sztandarowe przedstawienie limanowskiej sceny, nie bez udziału księdza Jana Rachwałę, z ducha artysty, z charakteru i temperamentu harcerza Rzeczypospolitej. Aż wydaje się nieprawdopodobne, ale te „Jasełka” były wystawiane do końca istnienia teatru, nawet po śmierci Stefana Ociepki. Pisząca te słowa widziała je na deskach byłego „Sokoła”! Było to wydarzenie - jak widać - nie tylko na miarę miasta, ale i jego okolic. Teatr zaś jest najwyższym wcieleniem wszystkich sztuk. Jego stuletnia tradycja w Limanowej warta jest osobnej monografii. Już samo wyliczenie premier w podpisach pod zdjęciami przyprawia o zawrót głowy.

Podobnie cieszą oko liczne zdjęcia „Echa Podhala”, orkiestry, od samego początku, tj. od 1923 roku, pozostającej pod artystyczną batutą, kuratelą i w wykonaniu pięciu pokoleń rodziny Mordarskich. Rzadko które miasto w Polsce stać na taką ciągłość. Artyści tej miary także wraz z zespołem przygrywali do wystawianych przedstawień.

Pewnym odkryciem jest dla mnie Podhalański Teatr Żydowski (s.273) w Limanowej w budynku „Przyjaźni” przy ul. Sądeckiej (obecnie Kościuszki), magicznego, choć niepozornego miejsca. Tam pewnie po spektaklu opadała kur-



tyna z Orlem Białym oraz herbami większych polskich miast, specjalnie przed wojną wymalowana przez Franciszka Biedronia, używającego też pseudonimu Raw i Rawira. Albumowe strony przywracają życiu ulotną sztukę sceniczną w wymienionym miejscu, także w dziecięcej ekspresji aktorskiej i tanecznej (s. 280-281).

Dzisiaj sięganie do korzeni stało się sposobem rodzinnej i lokalnej autoidentyfikacji.

W wielu rodzinach powstają, w oparciu o laserowe kopiowanie fotografii, książki-albumy wręczane najmłodszym, a zwłaszcza dorastającym generacjom przy większych spotkaniach, zwłaszcza wigiliach. I są to wzruszające, ale zarazem pouczające lektury. Bo człowiek może się optymalnie rozwinąć tylko wówczas, gdy się go wyposaży w korzenie i skrzydła.

Skrzydłom też w albumie poświęcono sporo miejsca. Widać więc na s. 142 kapitalny portret zbiorowy pedagogów z 1946 roku, którzy po wojnie założyli od podstaw pierwszą limanowską szkołę średnią tj. Miejskie Koedukacyjne Gimnazjum i Liceum, prawdziwy rozsądnik następnych szkół limanowskich i matecznik wielu późniejszych profesorów i rektorów. Nieco dalej, na (s. 144, 224, 225) widać przywróconą pamięci Górską Szkołę Rolniczą, powołaną 80 lat temu w Łososinie Górnej. Następna strona także obrazuje uczniowskie historie, w tym dwie bosonogie. A na dolnym zdjęciu na s. 130 Podhalańska Szkoła Gospodarcza w Koszarach. To zmieniona przez Niemców nazwa Szkoły Przystosowania Gospodyń Wiejskich, powstałej tamże w 1938 roku. I wreszcie rozdział „Ku wiedzy” skrzydłom poświęcony (s. 285-298), obrazuje przebyta drogę od budowy nowych szkół po pierwsze limanowskie matury tuż po wojnie. Na tej drodze nie brakło marzeń o dalekich wyprawach (Dni Morza w 1933 roku na s. 297) i złowieszczym przeczuć (na tejsze s. poniżej) w obliczu nadciągającej zawieruchy, gdy nastał czas przywdziania masek przeciwgazowych. Przejmujące są limanowskie tragedie, uwiecznione flesem: powódź z 1934 roku, wojenne reminiscencje i wielkie pożary (1915, 1945).

W latach 50., na gruntach należących uprzednio do gospodarstwa szkolnego Górskiej Szkoły Rolniczej, wybudowano Łososińskie Przedsiębiorstwo Przemysłu Drzewnego, przez blisko pół

wieku dające zatrudnienie kilkuset pracownikom. Jest ono przywołane na s. 34. Historia zatoczyła krąg. Dziś te zakłady także przeszły do historii.

Przestrzenie album w niektórych miejscach wykracza poza mury miasta. W naturalny sposób dotyczy to licznych odniesień do limanowskiej bitwy 11 grudnia 1914 roku, a więc już 95 lat temu na Jabłońcu jak również zdjęć m. in. z Kopciówki, Sarczyna i fotografii podpisanej „Dzieci na wsi” (s. 126).

Rozejrzałam się też za najstarszą fotografią. Aspirują do tego miana dwa zdjęcia.

Jest to po pierwsze fotografia Antoniego Müllera (s. 110), pierwszego aptekarza. W jego rodzinie i jego następców (Zubrzyckich i Bączkowskich) apteka pozostawała od 1850 do jej upaństwowienia w styczniu 1951 roku. Jest więc w albumie eksponowany Walerian Zubrzycki, burmistrz, społecznik i zawołany myśliwy (s. 302), polujący nawet na Bałkanach. Jego córka Klementyna to już magister farmacji, która po zamążpójściu w 1920 roku za farmaceutę, Zdzisława Bączkowskiego, miała czas zarówno na aptekę jak i na fotografowanie oraz inne niebanalne zainteresowania i pasje. Widać to w całym albumie. Narty, przeprawy przez rzekę, rajdy samochodowe, wycieczki i podróże były żywiołem pani Klementyny i jej rodziny. Bez fotografii z budowanej świątyni, użyczonych redaktorom albumu przez jej córkę, Krystynę Bączkowską-Cynkę, album byłby o wiele uboższy.

Druga najstarsza to chyba ta ze s. 17 dolna fotografia, z lat 1880-1884, jeszcze sprzed limanowskiej epoki kolejowej. Egzotyczny krajobraz!

Zaś najbliższa naszym czasom fotografia zamyka album na s. 320 i prezentuje odnowiony rynek z wyeksponowanym „buzodromem”.

I ostatnia sprawa dowodząca poczucia humoru twórców albumu. Ich dziecięce, niepodpisane wizerunki mogą być przedmiotem towarzyskich konkursów z gatunku, kto jest kto? A więc do dzieła!

**Tekst: dr Elżbieta Wojtas-Ciborska
– autorka „Księgi Limanowian”
(przyp. red.)**

**Fotografie z albumu
„Okруchy pamięci”**



Echa promocji

Zespół redakcyjny albumu „Okruchy pamięci. Limanowa na starej fotografii” serdecznie dziękuje wszystkim tym, którzy nadesłali podziękowania związane zarówno z ukazaniem się tej publikacji jak również z jej promocji, która miała charakter widowiska wspomnieniowego i odbyła się 8 lutego 2009 roku w Limanowskim Domu Kultury. Podziękowania wpłynęły na ręce pana Marka Czeczótki, burmistrza Limanowej oraz pana Stanisława Ociepki, koordynatora prac zespołu redakcyjnego. Ze względu na ograniczoną ilość miejsca na łamach gazety publikujemy tylko niektóre z nich.



„Jakże bowiem bujne kwitło tu życie, jakże wspaniałych można było tu spotkać ludzi, jakże barwne pisały się tu życiorysy, jakież pasjonujące zdarzały się tu historie...”

Jerzy Bogacz (fragment wstępu do albumu)

(...) - jestem wzruszona!

Panu Stanisławowi Ociepce, całemu gronu redakcyjnemu oraz burmistrzowi Panu Markowi Czeczótce przekazuję serdeczne podziękowanie.

Limanowa to miasto mojego dzieciństwa (1931-1945). Po raz ostatni byłam tam latem 1946 roku, w związku z czym obraz miasta zachowany w mojej pamięci, to miasteczko sprzed 63 lat.

Wydany przez Państwa album jest dla mnie bardzo cenny, mówi o historii miasta, ale też przybliżył mi obrazy, które zachowały się w mojej pamięci. Sprawia, że znów żyją różne domy, uliczki, ludzie ze świata mojego dzieciństwa.

Myśli wracają w odległe czasy, znowu mam niewiele lat, żyją wszyscy moi bliscy: rodzice, przyjaciele, znajomi, świat wokół pachnie czystym nieskażonym powietrzem, w majowe dni o świcie z wieży kościelnej słychać melodię pieśni „Chwalcie łąki umajone” - to gra na trąbce jeden z panów Mordarskich. Jest cicho, świeżo, nie ma spalin ani hałasu. Ludzie są dla siebie mili, przyjacielscy, bo wszyscy się znają.

Wprawdzie sielanka nie trwa wiecznie, wybucha II wojna światowa, którą przeżyłam w Limanowej, ale teraz w dobie szalonego pośpiechu, wzajemnych niechęci, lepiej jednak wspominać ten czas życia w sennym miasteczku jak z bajki.

Serdecznie dziękuję Panu oraz wszystkim, którzy wpadli na doskonały pomysł i stworzyli „Okruchy Pamięci”, album wspomnień.

Wspaniale, że znaleźli się ludzie z pasją, pomysłami i chęcią poświęcenia swego czasu na to, by historia pięknego, górskiego miasteczka nie poszła w zapomnienie.

Na tym skrawku ziemi żyli i nadal żyją ludzie, którzy robią coś wspaniałego, coś nie tylko dla siebie, ale przede wszystkim dla pokoleń.

Mimo odległości jaka nas dzieli sercem jestem związana z Limanową i pilnie śledzę jej losy.

Wiem, że pięknie się rozwija i rozrasta, ale miejsce, w którym istnieje, wciąż jest to samo.

Jeszcze raz dziękuję, przesyłam wszystkim twórcom albumu wspomnień wiele serdeczności, dobrych życzeń i prośbę: nie ustawajcie w swoim działaniu, jest pozytywne i piękne.

Warszawa, 14 lutego 2009

Barbara Wojtowicz-Hadzewicz (córka kapitana Władysława Wojtowicza – szefa Wojskowej Komendy Uzupelnień w Limanowej w latach międzywojennych – przyp. red.)

(...) Przez okres roku z podziwem obserwowałem wielki zapał oraz twórczą skuteczność Zespołu Redakcyjnego pracującego pod kierunkiem Pana Stanisława Ociepki. Dzisiaj można stwierdzić, że owoce Ich pracy wielokrotnie przerosły pierwotny zamysł Pomysłodawcy zawarty w tytule „Limanowa XX wieku”.



Promocja albumu, 8 lutego 2009 r. - sala widowiskowa Limanowskiego Domu Kultury.

Fotografie: Franciszek Natanek

Żyjemy w czasach, w których z nadzieją patrzymy w przyszłość, w których pojawiają się licznie nowe ulice, domy, samochody. Dzisiaj do Limanowej przyjeżdża „wehikuł czasu”, który zabiera jej mieszkańców w przeszłość - aż do początków ubiegłego stulecia!

Mogę sobie jedynie wyobrazić, jak wiele rozmów, rodzinnych spotkań oraz odkryć z historii ludzi i miasta, a także chwil wzruszenia spowoduje ten niezwykle album w limanowskich domach. Zapewne będzie on także bardzo pomocny w szkołach oraz w badaniach historyków. Piszę te słowa z przekonaniem, jako przedstawiciel pokolenia, które z uwagi na powojenną historię Polski, z trudem poznawało jej przedwojenne dzieje. Także w tym lokalnym znaczeniu.

Przypuszczam, że praca nad albumem pozwoliła poznać wiele nowych kart z zapomnianej historii Limanowej. Ich odkrywanie także zasługuje na zarejestrowanie.

Pamiętając o Pomysłodawcy, Zespole Redakcyjnym, w tym mozolnej pracy Pana Dariusza Ociepki (zdjęcia po retuszu są doskonałej jakości), a także wspierających finansowo wydanie albu-

mu pragnę podkreślić, że realizacja tak wspaniałego pomysłu bardzo cieszy oraz wzbudza szczere uznanie dla jego realizatorów.

Andrzej Kulig (profesor Uniwersytetu Warszawskiego – limanowianin z urodzenia – przyp. red.)

Warszawa, 2 lutego 2009 r.

Kocham moje rodzinne miasto – Limanową, kocham wspomnienia – są treścią życia. Gratuluję promocji albumu „Okруchy pamięci. Limanowa na starej fotografii”.

Jan Jeż (profesor Politechniki Poznańskiej – przyp. red.)

Poznań 6 lutego 2009 r.

Serdecznie dziękujemy panu Stanisławowi Ociepcie za podjęcie ogromnego trudu zebrania starych fotografii. Dziękujemy, że ożywił Pan stare i pożółkłe fotografie, by przybliżyć młodemu pokoleniu limanowian dzieje naszego urokliwego miasteczka, które na przestrzeni 100 lat przechodziło różne koleje losu i dobre, i złe – uwiecznione na tych fotografiach. Dziękujemy również panu burmistrzowi Markowi Czeczótce za wspieranie inicjatywy wydania albumu „Okруchy pamięci. Limanowa na starej fotografii”.

W imieniu Seniorek
Maria Krasuń Kazimierczak
Limanowa, 12 lutego 2009 r.

Gratulujemy wspaniałego przedsięwzięcia i epokowego dzieła, które jest wynikiem pracy świetnego Zespołu Redakcyjnego, działającego pod kierunkiem wybornego organizatora p. redaktora Stanisława Ociepki.

Album miał zebrać okruchy pamięci, a okazał się kamieniem milowym w kontynuacji pamięci dziejów miasta. Sądzimy, że znajdzie on poczesne miejsce w każdym limanowskim domu (a także w wielu domach poza nią) i będzie nie tylko ozdobą, ale bogatym źródłem ikonograficznym do badań nad dziejami miasta i atrakcyjną książką, do której stale będzie się wracać.

Z najlepszymi Życzeniami i wyrazami szacunku

**Elżbieta, Jadwiga, Katarzyna i Józef Wrońscy
z Krakowa**



I stało się!

Od pewnego czasu dochodziły głosy, zwłaszcza dzięki informacjom „Echa Limanowskiego”, że szykuje się ważne wydarzenie wydawnicze. Grupa oddanych – można powiedzieć „szaleńców” – postanowiła spojrzeć wstecz na swoje miasto za pomocą fotografii.

I zaczęło się!

Ogłaszali, docierali do różnych ludzi, szukali, zbierali setki i tysiące zdjęć. W miarę możliwości identyfikowali, selekcjonowali, uzupełniali współczesną techniką i układali w przemyślany sposób. Iście praca benedyktyńska pod przewodnictwem redaktora „Echa Limanowskiego” Stanisława Ociepki. Jako wydawca wyszedł naprzeciw Urząd Miasta Limanowa.

I stało się!

Dnia 8 lutego br. w sali Limanowskiego Domu Kultury odbyła się Wielka Gala „Promocja albumu Okruchy Pamięci” okraszona pięknym widowiskiem i recitalem Jagi Wrońskiej jako spadkobierczynie pokoleń. Zaproszony na tę uroczystość miałem zaszczyt, wśród zaproszonych na scenę gości, podziękować jako najstarszy z synów Ziemi Limanowskiej i obywatel miasta. Czynię to ponownie na łamach „Echa Limanowskiego”, nie wyróżniając ani osób, ani instytucji, ale z potrzeby serca.

Jak na scenie wobec licznie zgromadzonych gości ucałowałem album, tak czynię to teraz w duchu, oddając hołd przodkom, którzy tworzyli kulturę materialną i duchową oraz tym, którzy to udokumentowali w pozycji książkowej – albumowej. Myślę, że pozycja stanie się „gościem” każdego domu, każdej rodziny i będzie przemyśleniem nad przeszłością i refleksją co wnosimy my w teraźniejszość i w przyszłość stolicy powiatu, bo z historii wyrosliśmy...!

„I stało się! Deo gratias”

Ksiądz Jan – emeryt, Limanowa-Sowliny

Limanowa, 16 lutego 2009 r. (ks. prałat Jan Bukowiec, emerytowany proboszcz parafii Limanowa-Sowliny – przyp. red.)

Ile trudu musiał włożyć zespół redakcyjny albumu, aby tak cudowną pamiątkę zostawić potomnym.

Za pośrednictwem Marii Kazimierczak przekazuję wszystkim serdeczne podziękowania w imieniu swoim, moich dzieci oraz wnuków.

Danuta Korczyńska-Suwala

Kraków 24 lutego 2009 r. (siostrzenica żony Marceliego Bursztyna, burmistrza Limanowej w okresie międzywojennym przy. red.)

Szanowny Pan Stanisław Ociepka!

Otrzymanie publikacji „Okruchy pamięci” (za pośrednictwem mojej rodziny) było dla mnie wielkim zaskoczeniem, jak i również dużym wzruszeniem.

Zobaczyłem piękny, interesujący album pełen starych, urzekających zdjęć z czasów mojej młodości. Odnalazłem w nim moją rodzinę, z dziada pradziada wywodzącą się z tego pięknie położonego miasteczka, w którym się urodziłem i spędziłem część mojej beztrudnej młodości, lata najpiękniejsze w moim życiu. To małe miasteczko pozostało na zawsze bliskie mojemu sercu i w mojej pamięci.

Zdaję sobie sprawę z olbrzymiej pracy, jaką musieli wykonać twórcy tego wspaniałego albumu. Dlatego pragnę złożyć w swoim imieniu serdeczne podziękowania Panu i całej grupie redakcyjnej, którzy wspólnie stworzyliście tak piękne, wzruszające dzieło.

Grzegorz Joniec

Kraków 26 lutego 2009 r. (autor kilku fotografii zamieszczonych w albumie, emerytowany lekarz, – bratanek ks. płk Józefa Jońca. - przyp. red.)



Marian Wójtowicz prezentuje zespół redakcyjny albumu. Stoją od lewej: Jolanta Szyler, Stanisław Ociepka, Jerzy Bogacz, Stefan Bugajski, Zbigniew Dutka, Dariusz Ociepka, (Zbigniew Sułkowski - nieobecny na zdjęciu).

Zespół redakcyjny albumu „Okruchy pamięci. Limanowa na starej fotografii” wyraża podziękowania wszystkim tym, którzy do tej pory podzielili się uwagami i wrażeniami dotyczącymi wydawnictwa.

Jednocześnie informujemy, że nadal oczekujemy od Państwa opinii i uwag na temat tego wydawnictwa.

Informacje prosimy kierować na adres e-mailowy: **echo@echo.alte.pl** lub do Wydziału Promocji Urzędu Miasta Limanowa: **34-600 Limanowa, ul. J. Pawła II 9.**

Limanowscy literaci atakują

Popołudniem 30 stycznia limanowską bibliotekę zawładnęli regionalni literaci.

Mieli do tego przyzwolenie, a nawet pełnomocnictwa dyrekcji placówki, bo uroczyście promowali i prezentowali swoją książkę o enigmatycznym, a zarazem kuszącym tytule „WSZYSTKO CO NIE JEST PROZĄ”. Jest to wspólny zbiór tekstów osób tworzących i zaangażowanych w działający pod dachem biblioteki Limanowski Klub Literacki. Niedawno ujrzał on światło dzienne. W poprzednim numerze „Echa” było już co nieco o tym pisane.

Limanowski PEN Club, limanowski jest jedynie z nazwy, bo nie ogranicza się bynajmniej tylko do mieszkańców miasta, uprawiających szeroko rozumiane literackie poletko. Tworzą go ludzie rozsiani po całym regionie. Starsi i młodzi, znani (już) i nieznani (jeszcze), doświadczeni i literackie gołowąsy. Złączeni są mniej lub bardziej rozbudzoną pasją do pisania i chęcią do wspólnego spotykania się, dyskusowania i działania. Biblioteka ich wspiera na miarę możliwości w tym działaniu. Namacalnym tego efektem jest wydana właśnie przez nią książka, której debiut (bo to pierwsze poważne wydawnictwo LKL-u) i promocja odbyła się właśnie w przedostatni dzień stycznia w salach bibliotecznej Galerii Sztuki.



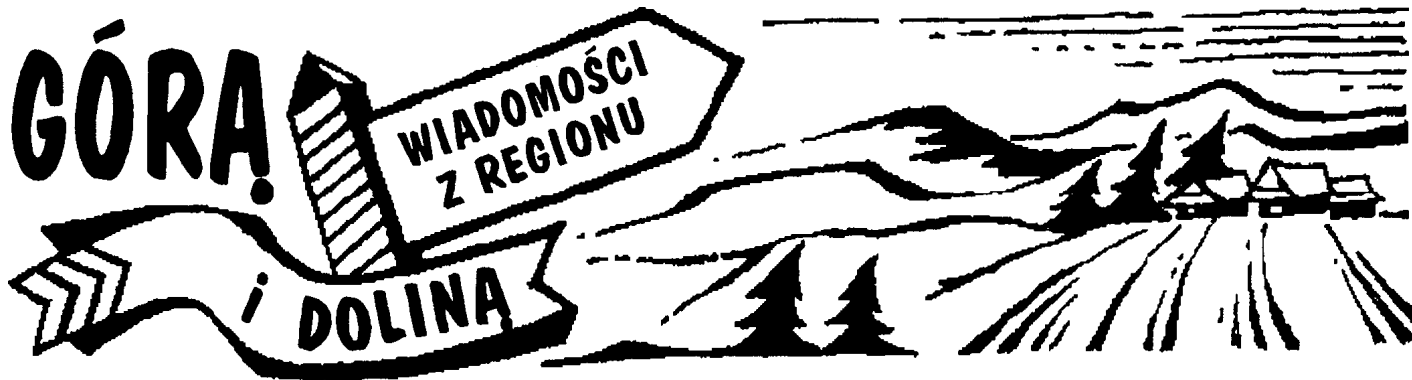
O tym, że udanie być może, wiadomym stało się jeszcze przed formalnym rozpoczęciem spotkania. A to za sprawą frekwencji. Obawy organizatorów o nią okazały się absolutnie nie na miejscu. Najpierw głos zabrała dyrektor biblioteki, witając literatów, zaproszonych i zaprzyjaźnionych gości (m.in. delegację z Dolnego Kubina w osobach dyrektora tamtejszej Biblioteki Orawskiej Petera Huba oraz przedstawicieli klubu literackiego FONTANA, działającego przy

niej). Przybliżyła zebranim ideę LKL-u i prezentowanego wydawnictwa. Krótkie wystąpienie wygłosił też dyrektor Huba. Zaznaczył wagę dobrych relacji partnerskich miast jakimi są Limanowa i Dolny Kubin. Zgłosił gotowość do dalszej współpracy i realizowania projektów na płaszczyźnie mocno zaprzyjaźnionych instytucji kultury, jakimi są obydwie biblioteki. Podkreślił, że dotyczy to także klubów literackich.

(ciąg dalszy na stronie 33)



Stoją od prawej: Zbigniew Sułkowski, Anna Przybylska, Ryszard Jabłoński, Anna Twaróg, Jerzy Stępień, Jarosław Czaja, Zbigniew Wrona, Jerzy Ranoz, Sławomir Łużny, Władysław Frączek, Marian Wójtowicz, Jerzy Bogacz, Karolina Grabiec, Halina Matras, Robert Widzisz, Jacek Sejmej, Joanna Tokarczyk oraz goście z Dolnego Kubina.



Spotkanie ze sztuką

Już kolejny raz- szósty raz.

Czas akcji: Sobotni, lutowy wieczór.
Godzina: około siedemnastej.

Miejsce akcji: Muzeum Regionalne Ziemi Limanowskiej.

To tutaj spotkali się Oni.

Oni - w różnym wieku - młodszy i starszy, kobiety i mężczyźni.

Połączeni jednym - miłością do sztuki. Odwzajemnioną w postaci najrozmaitszych dzieł - od rzeźby po ceramikę, od malarstwa po fotografię.

Twórcy - różnokolorowych wizji świata, górskich krajobrazów, barwnych pejzaży, twarzy i osób bezimiennych, okolicznych uliczek... *Władysław Frączek, Stanisława Gryś, Anna GOLONKA, Jolanta i Zygmunt Kłosowscy, Dionizy Kuliński, Agnieszka Mamak, Wiesław Mamak, Maria Plata, Jan Plata, Władysław*



Anna Przybylska czyta swoje wiersze.



Raczek, Stanisława Reciak, Anna Rosiek, Mariola Koziol-Rusnarczyk, Marta Sobczak-Piętoń, Artur Struzik.

Twórcy - ulotnych wspomnień zapisanych na fotografiach - Jolanta Cabała i Iga Kupiec.

Twórcy-drewnianych „cudów świata” - Aleksander Majerski, Edward Mąka i Marian Wójtowicz.

Ona jedna - młoda poetka - Anna Przybylska. Wieczór jej poezji. Lekko onieśmielona? Podekscytowana? Recytowaniem - czytaniem słów potrzebnych lub niepotrzebnych? Wierszy? Poezji?

W końcu doczekały się uznania i zachwyty.

Nie gra tu roli wiek, płeć, wyznanie czy pogoda zimowa za oknem... Najważniejsza jest ich wspólna pasja - SZTUKA!

Sztuka, która łączy wszystkich. Fajnie, że się spotkali.

Do zobaczenia w przyszłym roku!?

Wystawa czynna do końca marca br.

Wystawa cieszyła się dużym zainteresowaniem.

Z perspektywy przeżytych lat – o tomiku poezji *Nasz dom*

Prawie równocześnie z ukazaniem się na rynku albumu *Okruchy pamięci. Limanowa na starej fotografii*, pojawił się tomik poezji autorstwa Zbigniewa Kazimierza Wrony pt. *Nasz dom* wydany przez Katolickie Stowarzyszenie Civitas Christiana Oddział Małopolski Kraków. Okładkę projektowała Ewa Stokłosa, absolwentka wrocławskiej ASP, komponując w nią zdjęcie znanego limanowskiego fotografa Zbigniewa Dutki.

Co zawiera ta książka? Na jej odwrocie czytamy, że tomik jest tematycznym wyborem utworów z dotychczasowego okresu pracy twórczej autora. Ukazuje w nim głębokie przywiązanie do Ojczyzny dużej i malej, przywiązanie do ich piękna, historii oraz ludzi, którzy zamieszkują nasz dom.

Czym był nasz dom? Czym jest? Gdzie go szukać? Warto przejrzeć stare fotografie z albumu, przejść się ulicami miasta, zajrzeć do wydanego tomiku, aby uznać, że tak naprawdę nasz dom jest w naszej pamięci i sercu.

*W moim kraju
czuję tchnienie historii.
Do dzisiaj słyszę
legionów śpiew.
Czas
od bohaterów gęsty...*

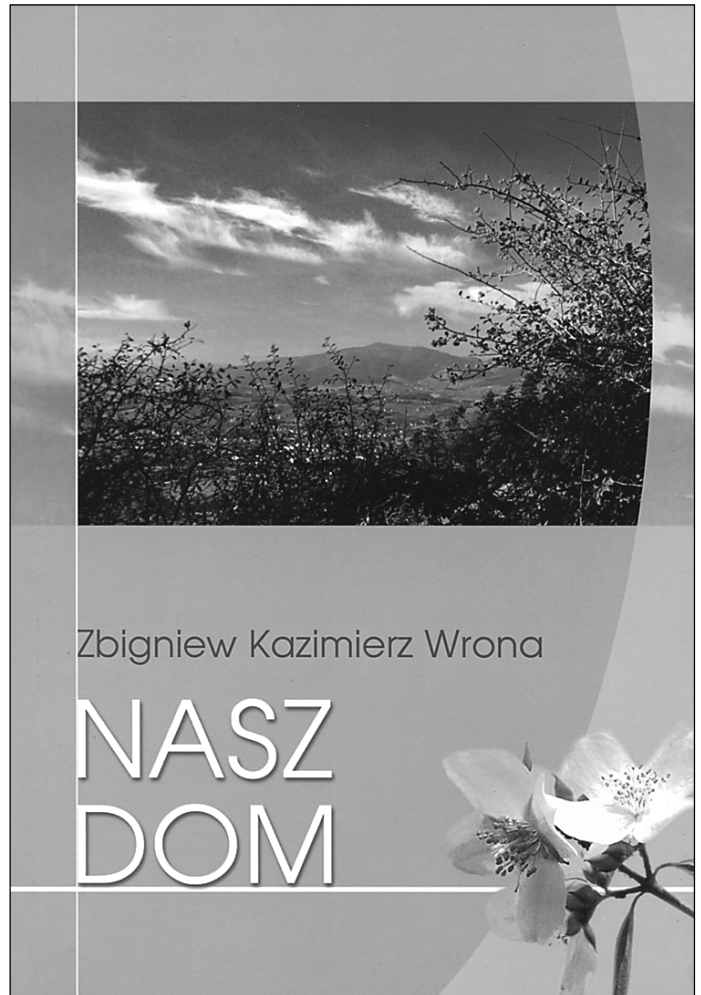
pisze autor. Okruchy pamięci są wielkim tchnieniem historii. Odnajdujemy tam bohaterów naszego miasta i Ojczyzny, odnajdujemy naszych przodków i ich groby.

W wierszu *Moje miasto* poeta wędruje ulicami, zagląda do szkół, sklepów i urzędów, wstępuje do bazyliki, gdzie *radować się łatwiej i smućć mniej trudno*. Lotem wyobraźni przeczesuje bliźniacze wzgórza Golcowa i Jabłońca, by powrócić tam, gdzie *w ciszy za miastem modli się biały krzyż*. Dalej autor mówi:

*żyją tu ludzie
zwyczajni,
wielcy prostotą
i szczerością.
Pracowici, gościnni,
pełni nadziei
i otwartości serca. (...)*

*Żyją tu
ciężko pracujący
pod obcym niebem,
by pomnożyć
chleb powszedni
przyniesiony
do własnych gniazd. (...)*

*Czasem
odjedzie stąd ktoś (...)
ale
gnani tęsknotą*



*wracają po latach tu
skąd wyszli,
gdzie najcieplej,
najbezpieczniej,
najjaśniej.
Do ziemi obiecanej,
do swojej drogiej
krajiny Kanaan. (...)*

I chyba stąd tytuł pierwszego rozdziału - *Ziemia obiecana*.

W wierszu *Przy stole* z drugiego rozdziału pod tym samym tytułem czytamy:

*Wśród twarzy spotkanych przy stole,
te rzeczywiste i przywołane z pamięci
- świadkowie wędrownego czasu.*

W rozdziale tym znajdujemy wiersze poświęcone najbliższemu, i nieznanemu cieszącym się życiem, jak i tym, którzy odeszli. Znajdują się tu również wiersze poświęcone Janowi Pawłowi II.

(ciąg dalszy na stronie 33)



W swoim prywatnym samolocie Gemini.

Jolanta Bugajska

Tyle lądowań, ile startów

Chłopiec biegnie przez łąkę. Zadzierza wysoko głowę. Mruży oczy, patrząc w bezkresną dal. I nagle... Jest! Ciszę rozprasza huk silników. Małec otwiera buzię w niemym zachwycie. Tkwi tak w nabożnym podziwieniu, dopóki samolot nie zniknie za linią horyzontu.

Pięćdziesiąt lat później za sterami potężnego Boeinga 767 siedzi pierwszy pilot. W rękach dzierży wolant, którym delikatnie prowadzi prawie 145 tonowy samolot.

- Lot 006. Tu wieża. Masz pozwolenie na lądowanie.
- Lot 006. Pozwolenie na lądowanie odebrane.

Ogromna maszyna miękko siada na ziemi. Rozlegają się oklaski. Przez twarz pilota przebiega uśmiech.

- Kapitan Ryszard Jaworz-Dutka dziękuje za lot.

Powietrze to jego żywioł

Na niebie spędził ponad 2 lata. Na niebie i w niebie swoich dziecięcych marzeń. Do tej pory przelatał w sumie około 21 tys. godzin. W PLL LOT jest od 34 lat, od prawie dwudziestu pilotuje boeinga.

- Od zawsze wiedziałem, że tylko to i nic innego – przyznaje.

Urodził się w Limanowej, ale jego rodziców los rzucił na ziemię kielecką. W Kielcach działał w Harcerskiej Drużynie Lotniczej. Druhowie pracowali w

modelarni, czasem wyjeżdżali na lotnisko aeroklubu do Masłowa. Tam zdobywali sprawności jako pomocnicy na starcie. W nagrodę od czasu do czasu piloci zabierali ich na podniebne wojaże szybowcem albo samolotem. Mały Ryszard z niecierpliwością czekał na moment, gdy osiągnie wiek szesnastu lat. Wreszcie mógł wziąć udział w szkoleniu praktycznym w powietrzu. Był rok 1962. Na lotnisku Aeroklubu Kieleckiego w Masłowie rozpoczął szkolenie szybowcowe. Od tego czasu nie rozstaje się ze sterami. Powietrze jest jego żywiołem.



Kapitan Ryszard Jaworz-Dutka.

Fot. K. Jaworz

Wyszli cało

Latał sportowo na szybowcach, samolotach, później został instruktorem. W 1975 r. nadarzyła się okazja, by szkolić się w PLL LOT. Nie wahał się. Zaczynał od samolotu An24, przeszedł przez Iła 18, Iła 62, aż wreszcie doszedł do Boeinga 767, na którym lata do dzisiaj. Był w grupie pilotów z pierwszych sześciu załóg, które przeszły szkolenie na szerokokadłubowym odrzutowcu. Ćwiczyli w amerykańskiej bazie wojskowej. Oczywiście latali na „swoim samolocie”, właśnie zakupionym. Takie są zasady. Później miała miejsce wielka gala. Z dziennikarzami na pokładzie zainaugurowali lot boeingiem przez Atlantyk z lądowaniem na Okęciu. Był rok 1989.

- Wcześniej lataliśmy na samolocie Ił 62. Różnica kolosalna. Tam potrzebnych było pięć osób – dwóch pilotów, radiooperator, nawigator i mechanik pokładowy. Tu jest tylko dwóch lotników.

Iły miały jeszcze jedną wadę. Były najbardziej awaryjnymi maszynami. Czarną kartę w historii lotnictwa zapisał w 1987 r.

W pojedynku z burzą

A warunki są różne. Czasem widoczność ograniczona jest do 400 metrów. Nie wiadomo, co jest na pasie. Widzi się tylko mgłę i w ostatniej chwili światełka. Najtrudniejsze jest zmierzenie się z warunkami atmosferycznymi, z frontami burzowymi. Gdy lecąc samolotem komunikacyjnym pilot stwierdzi, że zbliża się front burzowy, nie może zawrócić. Nie ma cudów, nie da się też przystanąć, by przeczekać zawieruchę. Musi wybrać najlepsze przejście. Bywa gorąco.

- To kwestia doświadczenia. Wiem, że odpowiadam za 250 pasażerów i samolot, który wart jest 100 mln dolarów. To ten moment maksymalnej koncentracji i zaangażowania.

Front idzie. Samolot leci. Każdą zmianę trasy trzeba uzgodnić z kontrolą naziemną. Łączność szwankuje. Samolot leci. Częstotliwość ratunkowa. Ułamki sekund.

- Wtedy wiem, za co mi płacą.

Ucałował ziemię

Na początku swej lotniczej kariery leciał z Warszawy do Katowic. Na południu Polski nie było radarów. Trasa biegła z Warszawy na Jędrzejów i w prawo na Pyrzowice. Samolot leciał na wyso-



Ryszard Jaworz-Dutka pilotuje RWD-5 w grupowym przelocie z Bielska-Białej do Łososiny Dolnej.

„Tadeusz Kościuszko”, który rozbił się nad Lasem Kabackim. Zginęły 183 osoby. Wcześniej podobna katastrofa miała miejsce w Moskwie. Po starcie wysiadł jeden silnik. Maszyna, z dużą ilością paliwa, nie miała prędkości, nie miała siły nośnej. Runęła w dół.

Inna tragedia była o krok. Pewnego dnia kapitan Jaworz-Dutka zostaje podezwany z dyżuru. Lot do Kopenhagi na samolocie Il 62. Mało pasażerów. Trasa niedaleka. Biorą niewiele paliwa. Dzięki temu obciążenie nie jest duże. Po starcie następuje awaria silnika.

Dziś mówi: - Gdyby to był lot atlantycki z pełnym bakiem i kompletem pasażerów, już byśmy z tego nie wyszli.

Rybitwy w silniku

Innym razem startuje z Okęcia do Montrealu. Jest piękny słoneczny dzień. Na pasie startowym wygrzewają się rybitwy. Potężny boeing zaczyna kołować, by wznieść się do lotu. Wzbija się w powietrze. Wraz z nim w górę podrywają się ptaki. Trafiają w samolot. Wpadają do silnika. Motor zaczyna wibrować. Trzeba wyłączyć jeden silnik. Trzeba zrzucić paliwo. Trzeba lecieć dalej. Gra nerwów. Opanowanie. Ładują na jednym silniku. Na ziemi ogląd maszyny. Zniszczenia ogromne. Trzynaście łopatek wentylatora połamanych. Niewłaściwa reakcja pilota i... katastrofa.

Lata jak z nut

Z góry widział cały świat. Latał do Pekinu, Montrealu, Los Angeles, Tajlandii, Wenezueli, Japonii, na Karaiby. Te-

raz najczęściej przemierza trasy do Chicago, Nowego Yorku i Toronto. Najdalszy lot odbył do Patagonii.

- Oczywiście, że nie boję się latać. Ja podziwiam tych, którzy potrafią grać z nut. Dla mnie takimi nutami jest dokumentacja lotu. Nie ma dla mnie znaczenia, gdzie mam kurs. Nie jest ważne, czy znam lotnisko. Po prostu idę do pracy. Latanie jest dla mnie tak samo zwyczajne jak prowadzenie samochodu. Wiadomo, są fazy, w czasie których trzeba się mocno koncentrować, ale są też okresy spokojnego lotu.



Z aktorem Zbigniewem Buczkowskim na Miejskiej Górze w Limanowej.

► kości 6 tys. metrów. Kontroler w Warszawie widział nadchodzący front burzowy. Żeby go ominąć, maszyna ruszyła w lewo. Zasięg radaru z Okęcia się skończył. Pilot mógł się zdać tylko na wyposażenie nawigacyjne samolotu. Ale podczas wylądowań atmosferycznych urządzenia szaleją. Wskaźniki biegają we wszystkich kierunkach. Doleciał w rejon Rzeszowa i tam odbił na zachód. Wszystkie strzałki nadal szalały. Paliwo się kończyło. Do tego dochodziły olbrzymie turbulencje. Stalowym ptakiem rzucało niemalże we wszystkie strony. Gdy wreszcie wylądowali w Pyrzowicach, jeden z pasażerów ucałował ziemię...



Z E.Pieniążkiem i J.Kołodziejem przy RWD-5.

Ser szwajcarski

- Samolot jest statystycznie najbezpieczniejszym środkiem komunikacyjnym. Jedna usterka techniczna nie może zagrozić bezpieczeństwu lotu. Takich czynników musi się spiętrzyć naprawdę wiele. To jak plasterki sera szwajcarskiego. Tylko wtedy, gdy przez kilkanaście plasterków bez problemu przejdzie promień lasera, może dojść do katastrofy. Wszystkie sytuacje są przerabiane na symulatorach, które idealnie oddają warunki panujące w czasie lotu. Podczas ćwiczeń wprowadza się wszelkie możliwe awarie. Piętrzy się je jedną po drugiej. Piloci muszą sobie poradzić i... radzą sobie.

Oprócz tego co pół roku przechodzą badania w Instytucie Medycyny Lotniczej. Co trzy lata mają testy w komorze niskich ciśnień. Do komory wchodzi 12 osób. Zostają włączone pompy wysysa-

jące powietrze. Potem następuje szybki wyjazd na 5 tys. metrów. W warunkach rozrzedzonego powietrza trzeba przetrzymać pół godziny. Bywa, że ktoś omdleje. Podaje się mu maskę tlenową. I trwa się dalej. Jeśli ktoś nie przejdzie testów, już następnego dnia żegna się z lataniem.

Po wydarzeniach 11 września piloci przeszli też szkolenia antyterrorystyczne. Oczywiście nie uczyli się walki wręcz. Poznali możliwe zagrożenia i procedury działania. Dawniej w kabinie pilotów można było przyjąć jakiegoś pasjonata lotnictwa, pokazać mu co jak działa. Teraz od pasażerów odgradzają ich drzwi pancerne.

Pod opieką Loretty

Ryszard Jaworz-Dutka realizuje się nie tylko jako pilot linii komunikacyjnych. Jest też prezesem Polskiego Stowarzyszenia Lotnictwa Eksperymentalnego.

PSLE założył Eugeniusz Pieniążek, który w 1971 r. na zbudowanym przez siebie samolocie Kukulka uciekł do Jugosławii. Stowarzyszenie opiekuje się inną maszyną powstałą z inicjatywy Pieniążka – latającą repliką przedwojennego samolotu RWD – 5, wykorzystując ją do propagowania lotnictwa, choćby w czasie pokazów lotniczych. Sam prezes jest współwłaścicielem Tulaka – wędrowca. Lata w Aeroklubie Podhalańskim. Jest instruktorem. Na co dzień mieszka w Warszawie, ale w wolnej chwili przemieszkuję w Limanowej w domu na Dutkówce. Tu ma zamiar osiąść na emeryturze. Żona Loretta – jako nosicielka imienia patronki lotników, dzielnie opiekuje się mężem. Za Consuelą de Saint-Exupery mogłaby powiedzieć: „Być żoną pilota to zawód”. Syn Krzysztof latał na szybowcach, ale zdecydował, że nie pójdzie w ślady taty. Ukończył studia z zakresu gospodarki światowej oraz ekonomiki turystyki.

Nudnego lotu!

Kapitan opuszcza pokład samolotu. Jest na lotnisku w Chicago. Ma dobrą noc na odpoczynek. Maszyną zajmuje się ekipa techniczna i sprzątająca. Za kilkadziesiąt minut B767 ruszy w drogę powrotną z nową załogą. W terminalu dostrzega małego chłopca, który w niemym zachwycie, z otwartą buzią przygląda się startującej maszynie. Przez twarz kapitana przebiega sentymentalny uśmiech. Po chwili mija kolegę pilota.

- Obyś miał nudny lot!
- Tyle lądowań, ile startów!

Tekst: Jolanta Bugajska
Fotografie: Zbigniew Sułkowski



Na obchodach 75-lecia LOT-u.

Rektor bez karakułów

Jolanta Bugajska

W domu w Podłopieniu przychodzi na świat dziecko. Noworodek nie daje oznak życia.

- Wrzućcie go do zimnej wody!
- ostro poleca babcia.

Rozlega się plusk. Lodowata woda rozpryskuje się po całej izbie. Ciszę rozprasza płacz dziecka. Ulga. Jest 16 lutego 1949 r. Kto wtedy mógł przypuszczać, że nowo narodzony chłopczyk kiedyś zostanie rektorem Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie.

Korzenie kształtują

Rodzinny dom Antoniego Tajdusia stał w centrum Tymbarku. Ojciec był stolarzem, później dowodził strażą pożarną i pracował w tymbarskiej owocarni. Mama była księgową. On – najstarszy syn, ma jeszcze starszą siostrę i trzech braci.

- Dzieciństwo, korzenie formują człowieka na całe życie – zauważa.

Ten okres wspomina jako czas, który ukształtował go poprzez pracę i sport. W domu się przecież nie przelewało. Musiał pracować, pomagać rodzicom. Razem z bratem pasł krowę, a także asystował ojcu w stolarni.



Anton Tajduś - rektor Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie.

- Rano ojciec wstawał i mówił: dziś zrobimy to i to. Przez wiele lat nie lubiłem tego, nie lubiłem pracować. Aż pewnego dnia zorientowałem się, że ...praca mnie cieszy. Daje mi satysfakcję, że coś zrobiłem, stworzyłem, zmieniłem.

Dzieciństwo to także nieustanne bycie w ruchu. Do uprawiania sportu nie potrzebował odpowiedniej organizacji czy sprzętu. W wolnych chwilach razem z kolegami jeździł na łyżwach, nartach, sankach, w lecie pływał, biegał po lesie, zbierał grzyby. Nigdy się nie nudził.

Na indiańskich ścieżkach

Jako mały chłopiec fascynował się westernami. On i koledzy czytali Karola Maya. Podzielili się na Apaczów, Komanaczów, Siuksów i innych. Okoliczne góry określili nazwami z powieści. Grupa z rynku w Tymbarku była jedną drużyną, on należał do tej drugiej, która mieszkała niżej. Między nimi trwały nieustanne wojny. Nie były jednak krwawe. Przebierali się, budowali szałas, bawili się w podchody. Niezdobytą górą opanowaną „przez tych z centrum” był Łopień. W czasie wspólnych zabaw zawiązywały się pierwsze mocne przyjaźnie. Jego najbliższym kolegą był Jacek Bednarczyk, który później w czasie studiów zginął w wypadku samochodowym.



Na tych wzgórzach w dzieciństwie bawiliśmy się w Indian - opowiada rektor Tajduś.

► **Partyjka w szachy**

Chodził do ILO w Limanowej. Był w klasie między innymi z obecnym burmistrzem Limanowej – Markiem Czezcótką. W ławce siedział z Olkiem Szyrszeniem, nieżyjącym już wójtem w Dobrej. Kolega był tym przykładniejszym, bardziej ułożonym uczniem. To zwykle on miał przybory potrzebne na geometrię. Zręcznie kładli je na środku ławki, aby wyglądało, że obaj są przygotowani do zajęć.

Do szkoły dojeżdżał autobusem z Tymbarku. Tym samym autokarem jeździł jeden z profesorów, pasjonat gry w szachy. W drodze do szkoły nauczyciel z uczniem namiętnie rozgrywali partyjki.

- Zauważyłem, że jak z nim wygram, to później przez cały dzień profesor jest w złym humorze. Koledzy zaczęli mnie namawiać, żebym czasem dla dobra sprawy przegrał. I rzeczywiście nieraz się podkładałem.

Pistolet wypalił

W szkolnej rzeczywistości niekiedy miały miejsce jakies „wybuchowe przygody”.

- Każdy z nas na koniec roku na technikę miał przynieść jakąś własnoręczną pracę. Ja zrobiłem lampkę nocną w kształcie okrętu z abażurem. Nauczyciel stwierdził, że niemożliwe, abym sam to wykonał, uznał, że na pewno gdzieś to kupiłem. A ja po prostu korzystałem z umiejętności zdobytych w warsztacie ojca. Do mojej klasy chodził Zbyszek Piotrowski - niezwykle zdolny człowiek. W trzeciej klasie zbudował nawet samolot. Na zaliczenie ten kolega zrobił ... dwa kolty. Na długiej przerwie namiętnie graliśmy w pokera. W którymś momencie ktoś wziął jeden pistolet, zawołał: Ręce do góry i ... nacisnął spust. Nikt nie wiedział, że broń była naładowana! Na szczęście pocisk tylko wyrwał kawałek ściany w sali. Przybiegł dyrektor Wilhelm Tabor. Oczywiście była wielka awantura, zarekwirował broń, zaniósł ją do sekretariatu i krzycząc do sekretarki: - Wyobraź sobie, że oni zrobili prawdziwe pistolety, ... nacisnął spust. Na szczęście i tym razem kula trafiła tylko w szafę. Była z tego grubsza afera opisywana w prasie. Wezwanie rodziców to tylko namiastka tego, co się działo.

Matematyk z duszą humanisty

Nauczyciel matematyki profesor Józef Staniszewski mawiał:

- Tajduś, Tajduś, taki zdolny a taki leń.

Przyszły rektor przez długi czas interesował się zarówno przedmiotami ścisłymi jak i humanistycznymi. Nauka przychodziła mu łatwo, ale nie przywiązywał wagi do ocen. Gdy ktoś miał problemy z zadaniem matematycznym, przychodził po pomoc do niego. Równocześnie dużo czytał. W młodości pochłoniął całą klasykę. Nawet kupił serię kilkunastu tomów „Dzieł zebranych” Słowackiego. Polonistka profesor Jadwiga Kowalczyk zaszczerpiła w nim miłość także do teatru.

- Nie ma czegoś takiego jak umysł ścisły. Można mieć zdolności matematyczne, można mieć „duszę, która hula”, ale jedno drugiego nie wyklucza. Humanistyka pomaga zajmować się naukami ścisłymi i odwrotnie - humanista bez logicznego myślenia nie istnieje.

Teraz, choć ma bardzo bogaty księgozbiór, nie lubi czytać. Po pracy naukowej ma już przesyty dzieł pisanych. Za to często chodzi do teatru. Na sztuce „Hamlet” w Teatrze Stu z Krzysztofem Globiszem w roli Klaudiusza był sześć razy. Na „Kontrabasiście” z Jerzym Stuhrem - cztery. Bo za każdym razem aktorzy grają inaczej.

Miał być marynarzem

Po liceum ... miał być marynarzem. Chciał zdawać do Wyższej Szkoły Morskiej. A jednak zdecydował się na matematykę na UJ. Zdał i dostał się. Staral się też na AGH, tam też został przyjęty. Przez moment studiował nawet na obu uczelniach. Ostatecznie wybrał AGH. Poszedł na Wydział Górniczy o specjalności – projektowanie i budowa kopalń. Wybór był czystą kalkulacją - dawał dobre perspektywy na przyszłość – niezłe pieniądze i „wyszkolenie przyszłych dyrektorów”.

Dostał stypendium fundowane przez zakład górniczy. Zasada była taka, że po studiach trzeba było je odpracować. Gdy kończył naukę, Przedsiębiorstwo Budowy Kopalń w Rybniku upomniało się o niego. On jednak już po trzecim roku studiów wiedział, że chce zająć się pracą naukową i zostać na uczelni. Angaż w

Rybniku wiązałby się z koniecznością rezygnacji z planów. Pojechał, by porozmawiać z dyrektorem przedsiębiorstwa. Ten jednak był bardzo niechętny, w którymś momencie kazał wezwać prawnika. W drzwiach stanął pochodzący z Tymbarku, starszy o dwa lata kolega z liceum w Limanowej. On pomógł przekonać dyrektora. Nic już nie stało na drodze do podjęcia pracy naukowej.

Siedział za szafą

Przez rok był na stażu, trzy lata później doktoryzował się pracą „Numeryczne określanie naprężeń w górotworze lepko-sprężystym, niejednorodnym, połałdowanym”. W wieku 41 lat habilitował się, a już w 1998 r. został profesorem nauk technicznych. To jedna z szybszych karier naukowych.

- „Siedziałem za szafą”, to znaczy zajmowałem się tylko pracą naukową. Nie miałem ambicji, by zostać dziekanem, tym bardziej rektorem. W 1993 r. były wybory, potrzebowali prodziekana. Ktoś mnie zaproponował. Przyjąłem funkcję bez entuzjazmu. Zostałem prodziekanem do spraw studiów zaocznych oraz finansów wydziału. Zarządzanie wydziałem to było coś nowego. Musiałem się wdrożyć, przestudiowałem więc całą stronę ekonomiczną uczelni. Wydział miał 3 mln deficytu. Po trzech latach udało się doprowadzić do wyjścia na plus z 1 mln zysku. Przyznam szczerze, że wcześniej nie sądziłem, że mam talenty organizacyjne.

W 1996 odbyły się wybory na dziekana Wydziału Górniczego i Geoinżynierii. Chyba nikt nie miał wątpliwości, kto powinien zająć to stanowisko. Wydział przechodził jednak kryzys – brakowało kandydatów na studia, nie było zapotrzebowania na absolwentów.

- Usiadłem w domu i zacząłem się zastanawiać, jak ma to wyglądać za 10 lat. Stworzyłem swoją wizję, która miała wprowadzić wielu przeciwników, ale nie zrażając się, parłem do przodu. Po dwóch kadencjach, zostawiłem wydział niemalże całkowicie przebudowany, z najlepszym wynikiem finansowym – 8 mln zysku i nowymi kierunkami, na które było zapotrzebowanie.

(ciąg dalszy na stronie 45)

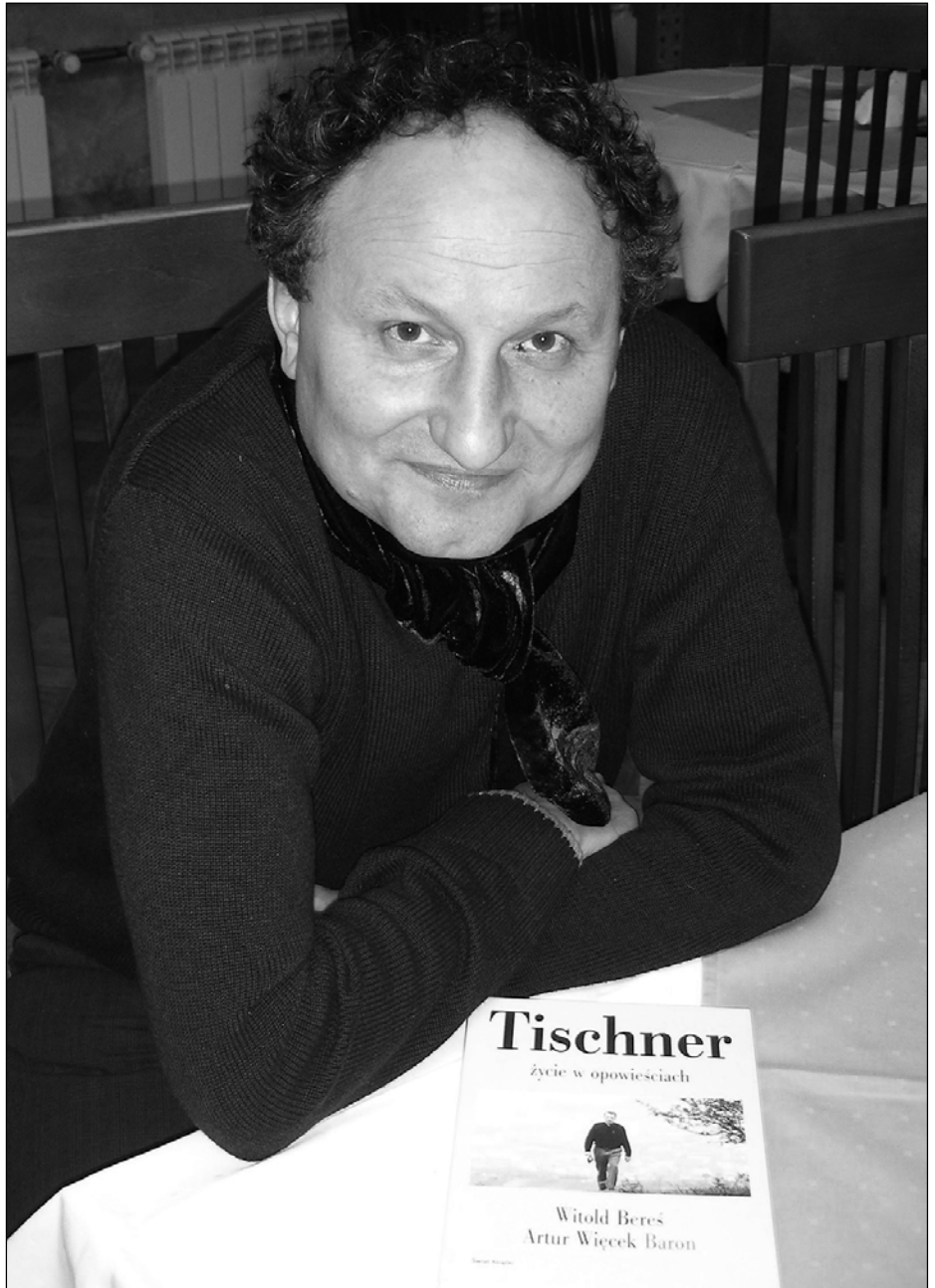
Rozmowa z reżyserem filmowym Arturem „Baronem” Więckiem - o przypadku, ślebotzie, wsiadaniu do właściwego pociągu, ks. Tischnerze, życiu i śmierci z dystansem, a wszystko z Limanową w tle.

- Nieświadomie w dzieciństwie powiedział Pan sobie przyszłość.

- Tak, to zabawna historia. W szkole podstawowej kumpłowałem się z kolegą Fredkiem Bulandą, który był takim klasowym „chuliganem”. Razem wagarowaliśmy i opuściliśmy się w nauce. I jak wcześniej byłem nawet niezłym uczniem, tak w siódmej klasie na półroczu miałem dwie lufy. Zostaliśmy wysłani do psychologa. Pani psycholog zapytała, co byśmy chcieli robić w życiu. A ponieważ mieliśmy taką zabawę, że goniliśmy się skacząc po drzewach w lasku, więc Fredek odpowiedział: chciałbym całe życie chodzić po drzewach. A ja, żeby go w tym idiotyzmie, absurdzie przebić, powiedziałem: a ja, to chciałbym zostać reżyserem filmowym. I tak sobie przepowiedziałem...

- Reżyseria była więc jakimś przypadkiem w Pana życiu?

- Jak widać może nie do końca był to przypadek? Na pewno przypadkiem było to, że znalazłem się w takim, powiedzmy artystycznym środowisku i poznałem paru ludzi związanych z łódzką szkołą filmową.



Artur „Baron” Więcki.

Górale mają takie „jo”

Jolanta Bugajska

Inna sprawa, że mnie zawsze ciągnęło do takiego świata. Nie do reżyserii, o tym nie miałem pojęcia. Ja chciałem pisać - scenariusze, książki. Śpiewałem w zespole, pisałem teksty piosenek, jakieś wierszyki, opowiadania. I takie też były moje początki w branży filmowej, zaczynałem od pisania scenariuszy. Ale początek to rzeczywiście przypadek, splot okoliczności, później jednak już sam, świadomie wybierałem swoją ścieżkę. Miałem bardzo dużo szczęścia. Czy temu szczęściu pomogłem?

Na pewno tak, bo w tym zawodzie nie można przecież polegać tylko na szczęściu, trzeba naprawdę coś umieć, mieć talent i ciężko pracować, ale, jak to w życiu, dużo zależy też od tego, czy wsiądzie się do właściwego pociągu.

- Teraz reżyseria jest Pana życiem?

- Dziś to mój zawód, piękny zawód, nie wyobrażam sobie innego, ale mam też do tego dystans. Wiem, że życie jest ważniejsze, niż reżyserowanie. Równie dobrze wyobrażam sobie, że zajmuję się czymś

innym i w tym znajduję sens. Nie chciałbym tego, nie szukam teraz niczego innego, ale nie jestem człowiekiem, który umrze za możliwość zrobienia filmu.

- Co to znaczy, że życie jest ważniejsze?

- Życie – po prostu. Wstawanie z łóżka z ochotą, spacer z dzieckiem, zadziwienie światem. Trzeba żyć i cieszyć się życiem, poznawać ludzi, czytać, myśleć, ale i napić się z kumplami, obejrzeć mecz, potańczyć, pośpiewać, pośmiać się... Żyć, żyć...

(ciąg dalszy na stronie 44)



Przed ołtarzem w Bazylice Mariackiej w Krakowie.



Występ w Filharmonii Krakowskiej.

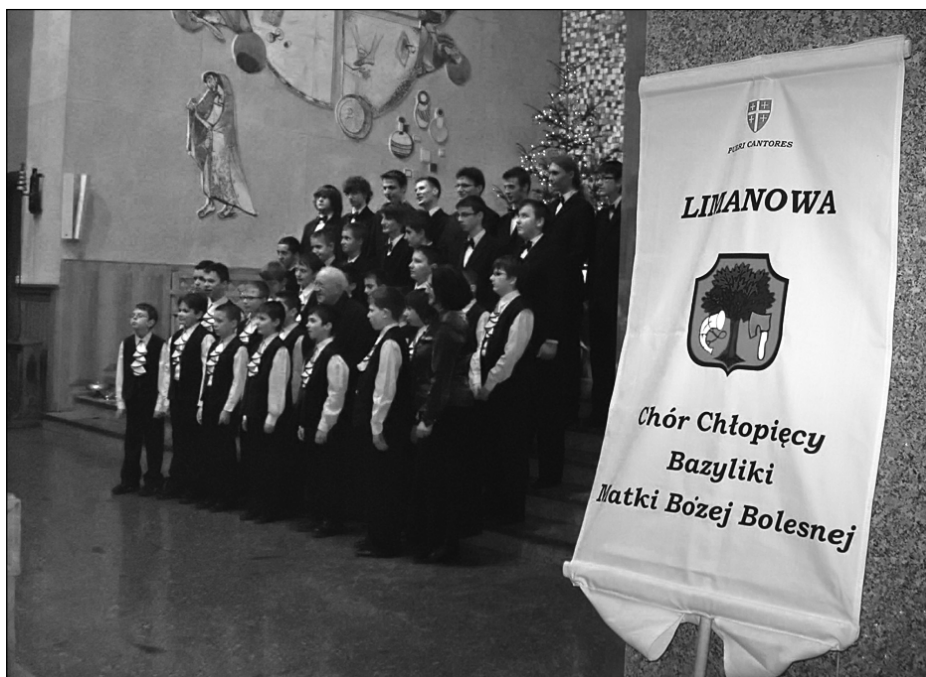
Pracowity i pełen sukcesów okres

Zafascynowani śpiewem, a równocześnie obdarzeni świetnym słuchem i głosem, chłopcy z Chóru Chłopięcego w Limanowej nie ustają w pracy i wciąż opracowują pod opieką swojej dyrygentki i opiekunki chóru, p. Haliny Dyczek nowy, bardzo ciekawy repertuar.

Przed świętami Bożego Narodzenia przygotowali „Suite pastoralną” opracowaną przez ks. K. Pasionka, którą zaprezentowali nie tylko w limanowskiej bazylice.

Nowy Rok 2009, został rozpoczęty bardzo uroczyście. 4 stycznia chórzysci wystrojony w nowe stroje uszyte ze środków otrzymanych z Urzędu Marszałkowskiego w Krakowie, kolędowali i uświetnili liturgię mszy świętej przy głównym ołtarzu w Bazylice Mariackiej w Krakowie. Chłopcy zaśpiewali fragmenty „Suite pastoralnej” i otrzymali rzęsiste brawa od słuchaczy. Na tej mszy św. obecny był prof. Jerzy Kurcz z Akademii Muzycznej w Krakowie, Karol Chudoba ze Stowarzyszenia Kresowiaków, który zaprosił chór na Litwę. Towarzyszyła im licznie zebrana młodzież z Limanowej, a opiekowała się chórem limanowianka, śpiewająca w chórze „Organum”, p. Anna Wojtas.

To jednak była dopiero rozgrzewka. Wieczorem wystąpili bowiem w Filharmonii Krakowskiej wspólnie z chó-



rem „Organum” pod dyрекcją profesora Bogusława Grzybka na koncercie charytatywnym, z którego dochód został przeznaczony na utrzymanie Hospicjum św. Łazarza. Koncertem tym chór „Organum” rozpoczął obchody swojego jubileuszu 40 lecia istnienia. Bo to właśnie w 1969 roku ówczesny Kardynał Metropolita Krakowski, Karol Wojtyła powiedział „Jest potrzeba takiego chóru”. I chór śpiewa....

Jest już wieloletnią tradycją, że noworoczne koncerty kolęd w Filharmonii Krakowskiej, nazywane również koncertami papieskimi, połączone są z kwestą na cel charytatywny. W tym roku chór „Organum” zaprosił właśnie Chór Chłopięcy działający przy Bazylice M.B. Bolesnej w Limanowej.

Występ w filharmonii to niewątpliwie ogromna nobilitacja i zaszczyt, którego nie każdy jest godzien dostąpić.



W czasie koncertu charytatywnego w Bazylice św. Małgorzaty w Nowym Sączu.

kolędowania

Tym bardziej, że wśród publiczności było wielu polityków, między innymi minister Obrony Narodowej Bogdan Klich z rodziną, generał Mieczysław Bieniek, senator RP Stanisław Bisztyga, Marszałek Województwa Małopolskiego Marek Nawara. Koncertu wysłuchał również Kardynał Metropolita Krakowski Stanisław Dziwisz i ks. dr Robert Tyrała Prezydent Polskiej Federacji Pueri Cantores.

Chór zaprezentował „Suitę pastoralną” w całości, następnie wspólnie z chórem „Organum” zaśpiewał kolędy „Bóg się rodzi”, „Nad stajenką gwiazda płonie” i „Święta Panienka”. Na koncertach akompaniowała chórowi p. Maria Poręba. Gościem honorowym koncertu była światowej sławy sopranistka, Elżbieta Towarnicka, solo śpiewali również Wiktoria Bisztyga - sopran, solistka chóru „Organum”, Roman Wojciechowski – tenor, Stanisław Ziółkowski – baryton i Janusz Borowicz – bas.

W sobotę 10 stycznia chór chłopięcy został zaproszony do Nowego Sącza przez Fundację Pomocy Osobom z Autyzmem „MADA”, gdzie wspólnie z innymi chórami, również z limanowskim chórem Canticum Jubilleum, wziął udział w koncercie charytatywnym w Bazylice Św. Małgorzaty.

Natomiast 25 stycznia na zaproszenie ks. Jana Dubasa SDB, proboszcza parafii pod wezwaniem św. Stanisława Kostki w Krakowie Dębniakach, parafii



Występ w kościele pw. św. Stanisława Kostki w Krakowie Dębniakach.

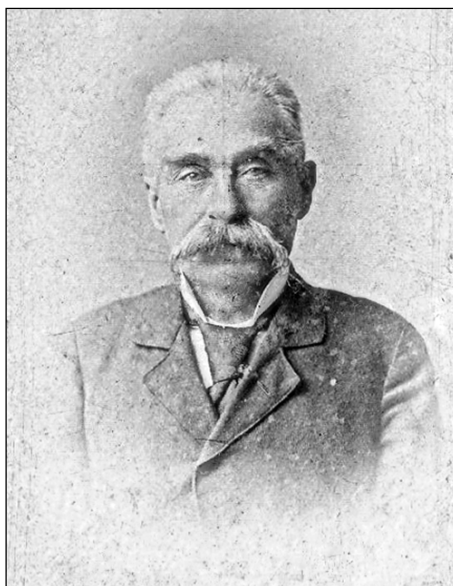
młodego Karola Wojtyły i Sługi Bożego Jana Tyranowskiego, chórzyci uświetniali swoim śpiewem uroczystość odpustową. Zostali bardzo ciepło przyjęci przez księży salezjanów, a ich śpiew na dwóch mszach świętych wzbudził podziw i wzruszenie wiernych.

Zakończenie okresu kolędowania, to oczywiście pożegnanie żłóbka, które było w limanowskiej bazylice 1 lutego 2009r. Wspólne kolędowanie chórów, orkiestr i zespołów muzycznych działających nie tylko przy naszej bazylice, ale również

kolędujący zespół „Limanowianie” zgromadziło wiernych, którzy kochają kolędy i zebrali się w kościele, aby słuchać, a również śpiewać. Chłopcy wykonali między innymi „Suitę pastoralną”. A potem razem z rodzicami udali się na opłatek, którego gościem honorowym był ks. Prałat Józef Poręba, ksiądz Robert Pocięcha opiekun duchowy chóru i radny Sejmiku Małopolskiego Stanisław Dębski.

**Tekst: Bożena Zoń
Fot. arch. chóru**

Na początku były Tatry. W Tatrach szalały niedźwiedzie i niekiedy burze. Wieść gminna niesie, że po wyginięciu niedźwiedzi jaskiniowych w Tatrach zamieszkali Kłosowscy. Przynajmniej tak twierdzą Francuzi, którzy jak pisał Makuszyński, są mądrym narodem. Naprawdę Kłosowscy sprowadzili się do Zakopanego z Podola w 1889 roku. Karol otrzymał stypendium powiatu czernichowskiego i rozpoczął naukę w CK Szkole Przemysłu Drzewnego. Dokumentem epoki są zdjęcia dobrodziejów, którzy to „stypendium” ufundowali, w albumie rodzinnym.



Z albumu rodziny Kłosowskich

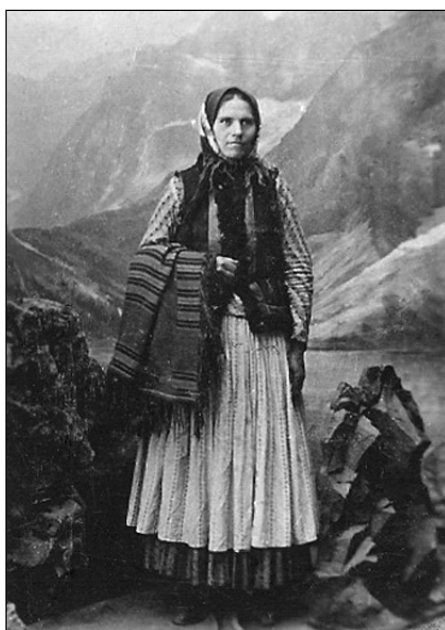
Karol zamieszkał w pensjonacie prowadzonym przez siostry Sobczakówny i zakochał się w jednej z nich – Katarzynie, która już była sławna jako pierwsza poetka góralska opisana między innymi w powieści „Róża Bez Kolców” Zofii Urbaniakowej.

Ciekawostką jest zdjęcie Katarzyny i matki Karola Kłosowskiego – jedna w stroju ukraińskim a druga w góralskim.

Karol uczęszczał do Akademii Wiedeńskiej i Krakowskiej w pracowniach Wyspiańskiego, Stanisławskiego i Wyczółkowskiego.

W 1907 na stałe zamieszkał w Zakopanem, gdzie podjął pracę początkowo w Szkole Przemysłu Drzewnego, a następnie w Szkole Koronkarskiej im. Heleny Modrzejewskiej. Dzięki jego projektom szkoła zdobyła złoty medal na Wystawie Sztuki Stosowanej w Paryżu w 1925 roku.

Dziadek tworzył w stylu młodopolskim. Jego prace, a zwłaszcza wycinanki którymi się wyróżniał z plejady współczesnych artystów, spowodowały, że z wizytą do Zakopanego przyjechał Profesor U-I Czun zainteresowany tak jego wycinankami, jak tematyką smoka często powracającą w twórczości Karola.



Profesor sporządził wycinankę wieśniaka jadącego na byku co w filozofii zenistycznej oznacza jeden z wyższych stopni wtajemniczenia. Dziadek odpowiedział mu wycinanką „Spotkanie dwóch mędrców”.

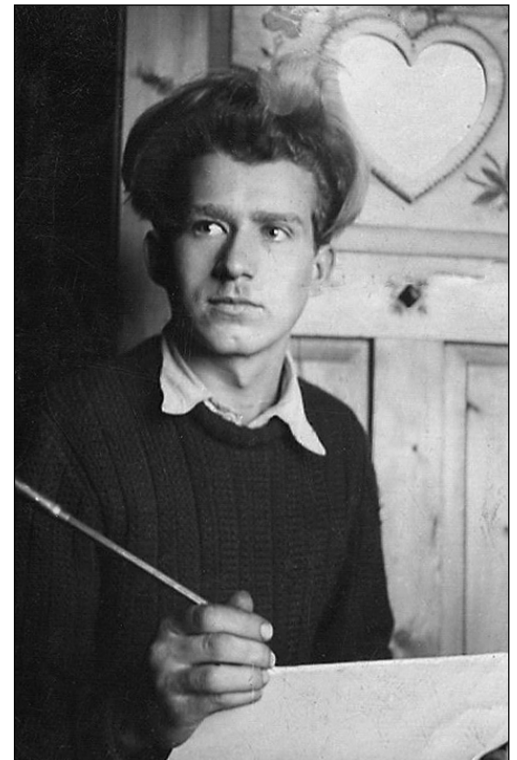
Podczas wojny ojciec Bronisław działał w AK. Po wojnie został aresztowany i trzy lata spędził w obozie w ZSRR. Tam był uczniem wybitnych rosyjskich malarzy, między innymi Władimira Bielewa. Opisał to w książce „Zakopane – Archangielsk – bez biletu”.



L. Millim podziwem i uznaniem³¹³
 dla twórczości prof. K. Kłosowskiego
 19/X/57 J. C. Makinowscy
 (M.K. Sz. Biuro Hospitacji
 Kulturalnej z Zagranicą)

Chiny 我很高兴看到了你
 罗尔教授丰富多采的
 艺术作品和欣赏了他
 精彩的弹奏出美的民间
 乐曲

七月-11/
 U-19 Okun 中国访问
 Rektor: Wyższej 中南美志 1957.9.21.
 Sekretary 秘书处 2. 1. 1957. 9. 21.
 朱 | 爵
 中国留波学生
 Cen Dui Student w Polsce



Bronisław kończy studia, buduje kombinat w Nowym Targu i spisuje kilka tomów dowcipów góralskich. Prowadzi też Związek Kombatantów AK i Związek Sybiraków.

Jego syn Zygmunt zamieszkał w Męcinie w rodzinnym domu swojej żony, gdzie stara się rysunkiem i obrazami oddawać piękno regionu.

**Wspomnienia Zygmunta Kłosowskiego
Fotografie z archiwum rodzinnego**



Na lodowcu Stanley'a poruszamy się powoli (wys. ok. 4700 m) ale bezpiecznie.

Różne uroki Afryki w jednej

RUWENZORI TREKKING cz. II

Andrzej Kulig

Jesteśmy u podnóża Gór Księżycowych, nazwanych tak przez Ptolemeusza 1800 lat temu, ale „odkrytych” przez Europejczyków tylko 120 lat temu. My odkrywamy je w 2008 roku.

Pierwszy dzień trekkingu rozpoczyna się w poniedziałek, 14 lipca. Po śniadaniu jedziemy do Nyakalengiji (wys. 1615 m n.p.m.), gdzie uzupełniamy sprzęt wspinaczkowy (raki, uprząż, czekan) i do bramy parku narodowego Ruwenzori. To tutaj rozpoczyna się piesza wędrówka przez niemal dziewicze tereny – jedne z ostatnich na Ziemi. Najpierw jednak uczestników czeka załatwienie formalności związanych z trekkingiem – obowiązkowa rejestracja oraz spotkanie z przewodnikami i tragarzami. Do ośmiu członków naszej wyprawy dołącza czterech przewodników, tragarze (przynajmniej 8) oraz kucharz i jego pomocnicy. W sumie nie wiem ile osób liczy cała nasza wyprawa! Ale tak chyba musi być.

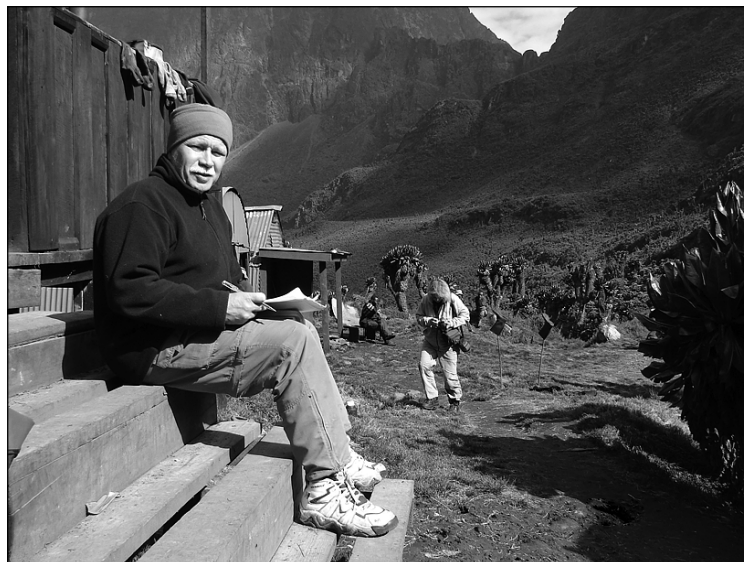
Na szlak wyruszamy około godziny 10. Idziemy przez liczne w tym regionie plantacje kawy i bananów. Po około godzinie marszu wchodzimy do dżungli. Dżungli za którą tęskniłem. Pogoda jest pochmurna, brak słońca i zarazem doskonale warunki do wędrówki. Pierwszy postój przy domku, w którym załatwiamy ostatnie formalności z rejestracją w parku. Następnie idziemy przez dżunglę, aż do krótkiego postoju nad rzeką Mahoma, po przekroczeniu której rozpoczynamy bardziej strome podejście zalesionym grzbietem na odkryty teren z widokiem na szczyty Portal. Pierwszym spotkaniem, dzięki pomocy przewodnika, egzotycznym zwierzęciem jest kameleon. O tyle to ciekawe, że jego nawet na zdjęciu trudno wypatrzeć. Do obozu – miej-

sca noclegowego Nyabitaba Hut położonego na wysokości 2651 m n.p.m. docieramy po około pięciu godzinach wędrówki. Zajmujemy miejsca w chacie i czekamy... Jurek, korzystając z wolnej chwili, nawiązuje ostatnią łączność z Polską, po której na tydzień tracimy sygnał telefoniczny. Tragarze docierają z bagażami z dużym opóźnieniem – około godziny 17. Okazuje się, że ten pierwszy dzień jest dla nich najtrudniejszy. Najpierw starają się „załapać” do grupy, a później jeszcze pędzą do domów pożegnać się z rodziną i przygotować do kilkudniowej wyprawy. Teraz możemy się już rozpakować i skorzystać nawet z prysznica. Około godz. 18 jest herbata i ciastka, a po kolejnej godzinie kolacja na gorąco, po której mamy krótkie spotkanie z przewodnikami (tzw. *briefing*) i około 21 można przygotowywać się do spania. Warunki są dobre – chata z wieloosobowymi pokojami. Nasz mieści 6 osób.

PODRÓŻE MAŁE, PODRÓŻE DUŻE



Transport bagażu jest ciężką pracą, ale dlaczego plecaki niesione są w workach i na głowie, tego nie wiem.



Szczśliwe chwile – autor w masywie Ruwenzori na wysokości ok. 4 tys. m n.p.m. w roli korespondenta „Echa Limanowskiego”.

Autor wśród bujnej alpejskiej roślinności - las ogromnych senecji tworzy niezwykły krajobraz.

wyprawie

We wtorek, w drugim dniu trekkingu pobudka o 7³⁰. Śniadanie o 8³⁰, a po śniadaniu o 9 wyruszamy na szlak. Droga bardzo ciekawa, i nareszcie przez wymarzoną dżunglę. Schodzimy do wiszącego, lekko „zrujnowanego”, mostu położonego w miejscu łączenia się dwóch rzek Mubuku i Bujuku (wys. 2600 m), a potem wspinamy się na prawy brzeg doliny rzeki. Według Lonely Planet Ruwenzori Trekking jest trudniejszy niż na Kilimandżaro i Mt. Kenia. I wypada się z tym zgodzić. Jest on bardziej „techniczny”. Droga przez dżunglę jest dość wymagająca: wąska i podmokła, skaczemy z kamienia na kamień lub po korzeniach drzew. Kamienie i korzenie są bardzo śliskie. Dużo wilgoci. Po kilku godzinach wędrówki docieramy do tzw. „starego” obozowiska. Nadaje się ono tylko do krótkiego odpoczynku i założenia stoptutów (ochraniaczy). Teren staje się jeszcze bardziej podmokły. Podłoże jest bardzo bogate w organiczną glebę. Dużo próchnicy i wody. Wędrujemy przez bambusowy las. Po drodze trochę pada, ale ogólnie

nie pogoda jest bardzo dobra. Po ponad 6 godzinach marszu dochodzimy do malowniczo położonego schroniska John Matte Hut na wysokości 3380 m n.p.m. Jesteśmy na miejscu. Chata na 16 osób. Warunki (mimo, że zapowiadano obniżenie standardu) przyzwoite, chociaż na prysznic już nie można liczyć. Kąpiel, lub mycie w lodowatej wodzie w rzece. Po południu pojawia się słońce. Są piękne widoki na pobliskie szczyty. Na szczęście Margherity nie widać. Tym razem czekamy na herbatę i obiad krócej. Zmierzch robi się około 19. Do tego czasu dobrze jest zająć się najważniejszymi czynnościami (porządkowanie bagażu, toaleta, przygotowanie spania). Po kolacji dość szybko kładziemy się spać.

W środę oficjalna pobudka około godziny 7, ale każdy wstaje dość indywidualnie. Na 8 jest przewidziane śniadanie (m.in. *porridge*, naleśniki lub omelety), a potem szybkie pakowanie bagażu. Dzisiaj mamy do pokonania tereny podmokłe – bagna, dlatego zamiast butów trekkingowych zakładamy rybackie woderki. Rano wędrówka malowniczą trasą do miejsca zwanego Lower Bigo Bog. Zaraz po wyjściu z obozu przekraczamy rzekę (w woderkach jest to proste) i wspinamy się do dolnego bagna, które pokonujemy po dobrej konstrukcji pomoście o długości około 1 km. Trzeba tylko uważać, aby się nie poślizgnąć. Bagno pokryte jest kępami traw, które podczas pokonywania go są bardzo pomocne. ►

▶ Rozpoczynamy wspinaczkę przez wspaniałą dolinę Bujuku pokrytą alpejską roślinnością, w tym głównie starce i piękne lobelie (kilka razy większe od tych na Kilimandżaro). Widoki są niezwykle. Trudność sprawia bardzo wąska, śliska ścieżka, cierniste zbrocza i gęsta roślinność. Szlak, którym podążamy, jest przygotowywany do sezonu trekkingowego poprzez wycięcie ścieżki w dżungli. Wędrówka poza szlakiem jest praktycznie niemożliwa, ponieważ nie da się pokonać terenu. Wymaga to wyprawy mającej w składzie specjalne osoby wyposażone w maczety służące do wyrąbywania ścieżek w tropikalnej dżungli. Dochodzimy do górnego bagna – Upper Bigo Bog. Teraz idziemy przez podmokły teren według następującej taktyki: stawiamy nogi dokładnie tam, gdzie wcześniej postawiła je osoba poprzedzająca. Stając na kępkach trawy, korzeniach i kawałkach drzew można iść, ale kilkanaście centymetrów obok czekają już kilkudziesięciocentymetrowe „głębie”. Wpadając do nich jedną nogą, trzeba się pilnować, aby nie „utopić” drugiej nogi. Samodzielnie wyjść z bagna jest bardzo trudno. Na zboczach jest mniej bagniście i rośnie przepiękny las, lecz trzeba pokonywać leżące pnie drzew, strome skały oraz śliskie korzenie i kamienie, na których bardzo łatwo się poślizgnąć i upaść, więc wędrówka jest równie trudna. Po kilkukilometrowej wędrówce przez bagno, dalej zaczyna się bardziej strome podejście do jeziora Bujuku. Mimo że okolica jest zachwycająca, trzeba patrzeć też „pod nogi”. Pokonując drogę brzegiem jeziora grzęźniemy w bagnie. Na dodatek pojawiają się mgły i chmury. Zaczyna padać deszcz. I nic dziwnego. W końcu Ruwenzori, zwane w Ugandzie Rwenzori, w językach Bantu oznacza - góry deszczowe.

Na szczęście w oddali widać już zabudowania „schroniska” Bujuku Hut oddalonego o mniej więcej pół godziny marszu od jeziora. Na miejscu jesteśmy o 14²⁰, po 5 godzinach marszu. Po chwili pojawia się herbata (wraz z wysokością – teraz jesteśmy prawie na 4000 m n.p.m., podwyższa się jakość serwisu!). Około godziny 15 pojawia się też słońce i wspaniały widok na ośnieżony masyw Stanleya. Należy wspomnieć, że Ruwenzori mają około 20 szczytów o wysokości ponad 4,5 tys. metrów wysokości. Część grupy decyduje się na wycieczkę na pobliską przełęcz. Ja postanawiam zrobić kilka notatek z trasy. W końcu rola korespondenta „Echa Limanowskiego” zobowiązuje. A jesteśmy w ostatnim miejscu, gdzie można usiąść na schodach chatki i pisać. W schronisku napisy informują „Jeżeli nie musisz iść dalej, zawróć. Ostatnio miały miejsce dwa śmiertelny wypadki. Jesteś w terenie, w którym ewentualna pomoc nie nadejdzie szybko.” Z tego powodu, po kolacji żegnamy się z dwiema Szwajcarkami, które dzielnie towarzyszyły nam w drodze. Nasza kilkunastoosobowa wyprawa w tym miejscu jest już dość nietypowa. W Bujuku Hut pojawiają się głównie dwu-trzy osobowe grupki z *supporterami*. Nie ma praktycznie zorganizowanych grup. I mimo, że jest cudnie „bezładnie” pora kłaść się spać. Dalej zaczynają się poważniejsze wyzwania.

W czwartym dniu trekkingu mamy decydujące podejście do bazy Elena Hut, z której wyruszają wszystkie ataki na ośnieżone szczyty Ruwenzori. Po śniadaniu wyruszamy w woderach. Tym razem otaczamy jezioro Bujuku od strony zachodniej. Znowu wspinamy się bardzo stromo. Aby wydostać się na niewielką przełęcz, która jest doskonałym punktem widoko-

wym na jezioro Bujuku w dole i śnieżne szczyty nad głowami, ostatni odcinek pokonujemy po metalowej drabinie kilkumetrowej wysokości. Dochodzimy na przełęcz, z której można zacząć schodzić w dolinę Mubuku. W tym miejscu opuszczamy główny szlak trekkingowy „wokół Ruwenzori” i kierujemy się jeszcze bardziej w górę. Szlak staje się coraz bardziej wysokogórski. Zmieniamy obuwie na trekkingowe. Do drewnianego szałas, składającego się z dwóch niewielkich pomieszczeń, docieramy dość wcześnie – po pięciu godzinach wspinaczki. Mamy sporo czasu na przygotowanie sprzętu do wejścia na szczyt. Jesteśmy na wysokości 4540 m n.p.m. Dlatego po kolacji szybko oddajemy się w objęcia Morfeusza, aby po kilku godzinach marszu zregenerować siły i śnić o potędze.

W piątek 18 lipca 2008 roku, w piątym dniu trekkingu już o 6²⁰ wyruszamy na najtrudniejszy, ale i jeden z najpiękniejszych etapów wspinaczki. Wczesne wyjście jest konieczne, m.in. z uwagi na długość podejścia oraz chęć zapewnienia sobie dobrej widoczności na stronę kongijską. Jest jeszcze ciemno, ale niezbyt zimno. Przez godzinę wspinamy się po skałach do lodowca Stanley Glacier. Potem podczas krótkiego postoju zakładamy raki, uprząże, wiążemy się linami i około 8 wchodzimy na lodowiec. Widoczność się pogarsza. Idziemy przez niemal płaskie Plateau Stanleya. Docieramy do skał, po pokonaniu których trafiamy na lodowiec Margherita. Lodowiec kończy się pionową skałą. Tutaj, po założeniu asekuracji, trzeba wspiąć się najpierw po metalowych kłamrach, a następnie wciągnąć na linie. Dla mnie jest to najtrudniejszy moment wyprawy – około pięć metrów wysokości o trudności IV stopnia. Szarpnięcie liną przez poprzedzające-



Margherita Peak, najwyższy szczyt Ugandy, zdobyty – Kinga i Krzysiek z autorem.



To nie zima w Beskidach, ale trekking w strefie równikowej w połowie lipca.

go mnie Przemka uświadamia, że niestety, lub na szczęście, odwrotu nie ma. Trzeba dać z siebie wszystko, bo za mną podąża już Jurek. Dalej jeszcze niewielkie podejście po skalnym podłożu i dokładnie o godzinie 12, w samo południe, kończymy atak na szczyt Mt. Margherita. Jesteśmy na szczycie o wysokości 5109 m i, o dziwo, jest tu przyjemnie oraz dość ciepło. Można trochę odpocząć, napić się herbaty, zjeść kawałek czekolady i zrobić pamiątkowe zdjęcia. Parafrazując myśl H. J. Browna¹, potwierdzam, że „*życie co jakiś czas daruje nam cudowną chwilę i należy się nią nacieszyć*”. Ale, jak się okazuje, zdarza się to nie za często i nie na długo. To tutaj dociera do nas wiadomość, że członek naszej wyprawy uległ kontuzji. Początkowo przypuszczaliśmy, że jest nim jeden z przewodników. Ostatecznie okazało się, że Maan, który miał czekać na nas pod pionową skałą, postanowił ją pokonać i wybił bark. Teraz, mając niesprawną rękę, cierpi i wymaga szczególnej asekuracji.

Po półgodzinnym odpoczynku zarządzamy odwrot. Teraz wędrujemy bardzo powoli, bo podobno do 70 procent nieszczęśliwych wypadków w górach zdarza się podczas schodzenia. Wokół gęstnieje mgła. Po pokonaniu feralnej skały (w dół poszło znacznie łatwiej) poruszamy się po śnieżno-lodowej czapie pokrywającej Stanley Plateau. Po zdobyciu szczytu, zejście poniżej granicy śniegu okazuje się problemem. Na lodowcu widoczność spada praktycznie do kilku metrów. Teraz przejście przez skały dzielące lodowce jest dość trudne, bo pada bardzo intensywny deszcz. Dopiero na dolnym lodowcu nabieramy trochę sił. Droga wydaje się być coraz łatwiejsza. Ale zapomnieliśmy o skałach pokonanych jeszcze w porannych ciemnościach. Po cało-

dziennych opadach są tak śliskie, że nie da się ich pokonać bez asekuracji. Leszek organizuje stanowisko zjazdowe i wszyscy zjeżdżają na linach kilkadziesiąt metrów. Dopiero po około dwunastu godzinach w akcji wszyscy jesteśmy w chatce Elena Hut. Teraz czeka nas odpoczynek i lunch. Początkowy plan, dalszego schodzenia do jezior Kitandara i do obozu na wysokości 4000 m pozostawiamy do realizacji na dzień następny. Tylko Leszek dokonał jeszcze czegoś, co mnie zaskoczyło – nastawił Maanowi wybity bark, dzięki czemu mógł on wziąć leki przeciwbólowe i zasnąć. Na drugi dzień mieliśmy się rozstać z naszym kontuzjowanym współtowarzyszem. Maan musiał wracać z jednym z przewodników pokonaną dotychczas drogą.

W sobotę czeka nas długi dzień, ponieważ powinniśmy zrealizować „zaległy” odcinek Elena Hut – Kitandara, plus planowane, po stromej wspinaczce na przełęcz Freshfield Pass (wys. 4215 m n.p.m.), zejście do Guy Yeoman Hut (3500 m). Zejście do jezior Kitandara okazało się znowu bardzo trudne z powodu warunków pogodowych. Rano budzimy się i stwierdzamy, że w lipcu, w Afryce, w strefie równikowej, pada intensywnie śnieg! Ale nie ma wyjścia, trzeba wyjść z chatki. Początkowo w butach trekkingowych, asekurowani w niektórych miejscach przez przewodników „wytracamy” wysokość. Mijamy zielone senecje pokryte śniegiem. Widok roślinności tropikalnej pokrytej w środku lata na równiku śniegiem robi dziwne wrażenie. Powoli śnieg przemienia się w opad deszczu. Do Kitandara Hut, z widokiem na kongijską dżunglę, docieramy w samo południe mocno przemoczeni. Czas lunchu wykorzystujemy na osuszenie, przebranie i posiłek. Bo przed nami jeszcze bardzo długie wędrowanie przez przełęcz Freshfield Pass oraz bagna w dolinie Mubuku, głębsze od tych w dolinie Bujuku. Ponownie wracamy do woderów. Ostatni odcinek przedzierania się przez bagna nie zdążyliśmy pokonać przed zmierzchem. Włączyliśmy nasze czołówki, ale „zabawa” stała się szczególnie emocjonująca. Teraz skoki z kępy na kępę nie zawsze kończyły się sukcesem. Na szczęście, idąc z Jurkiem, towarzyszył nam jeden z przewodników. Big support. Ponieważ byliśmy mocno spóźnieni, ze schroniska wyszedł naprzeciw drugi z przewodników. O godzinie 20 byliśmy w komplecie w Guy Yeoman Hut, gdzie ksiądz Krzysztof Gardyna szukał dinozaurów. Kompletny Jurassic Park.

W siódmym dniu trekkingu mamy w planie całodziennie zejście z gór. Najpierw na lunch do Nyabitaba Hut (2500 m) przez bagnisty region Kamatu oraz Kichuchu, a następnie dotarcie do bramy parku narodowego. W Nyabitaba jesteśmy około godziny 13. Tutaj podczas naszego posiłku dochodzi nasz towarzysz Maan. Jest w niezłym stanie. Po godzinnym odpoczynku ruszamy dalej razem. Pogoda się poprawia, więc schodzimy w dobrym tempie. Odcinek, który przy podchodzeniu zajął nam 5 godzin, teraz pokonujemy w 3 godziny. Jesteśmy w punkcie wyjścia. Przy bramie parku robimy pamiątkowe zdjęcia. Następnie zakończymy trekkingu. Zdajemy sprzęt, żegnamy się z przewodnikami górskimi i tragarzami. Ten moment jest charakterystyczny. Supporterzy byli bardzo dobrzy. W dowód wdzięczności, oprócz napiwków, zostawiamy im część naszego ekwipunku (np. kije, wodery), który nam na tej wyprawie nie będzie już potrzebny, a dla nich stanowi cenne „trofea”. Uderza też witalność spotkanych ludzi. Szef przewodników powtarza: „*powiedzcie o nas i naszych górach swoim znajomym. My na nich czekamy*”. Krzysiek rozdaje koszulki i inne pamiątki z Polski. Jest sielsko. Spokojnie dojeżdżamy do hotelu. Czekają nas rozpakowywanie plecaków, suszenie ubrań i ponowne pakowanie bagażu – na safari.

**„Idź w góry. A gdy wrócisz z gór,
świat nadal będzie taki sam,
ale ty będziesz inny.”**

Tak napisał Paweł Piwowarczyk².
I chyba ma rację.

Andrzej KULIG

Fotografie ze zbioru Andrzeja Kuliga

Warszawa, grudzień 2008 r.

c.d.n.

Część III – SAFARI w następnym numerze.

1. Brown H. J. Jr.: Mały poradnik życia. 365 rad, spostrzeżeń i przypomnień pomagających przeżyć szczęśliwe i owocne życie. Agora S.A. Warszawa 2008.

2. Piwowarczyk P.: Na bożym szlaku ... Niedziela Nr 31, Rok LI, s. IV-V. 2008.



Teraz już tylko wędrowka w dół – letnie upały czekają na nas (Jurek z autorem) dopiero w Polsce.

Tekst wygłoszony przez Stanisława Ociepkę – koordynatora prac zespołu redakcyjnego - w czasie promocji albumu

Szanowni Państwo!

Nielatwo w kilku słowach przybliżyć te wszystkie zdarzenia, które związane były z przygotowaniem wydawnictwa, którego dzisiaj odbywa się promocja.

Nie da się bowiem wyrazić słowami atmosfery jaka panowała w czasie realizacji tej publikacji.

Emocje, jakie towarzyszyły zespołowi redakcyjnemu w czasie oglądania obrazów nieznannej do tej pory Limanowej, pozwoliły na nowo ją odkrywać.

Tak było podczas redakcyjnych spotkań, na których między innymi przeglądaliśmy fotografie podarowane przez limanowskie rodziny, aby podjąć trudną decyzję, które z nich zakwalifikować do naszego limanowskiego albumu.

A było z czego wybierać; z ponad 4 tysięcy zgromadzonych fotografii ostatecznie w albumie znalazło się ich 648 ułożonych w 12 oddzielnych tematycznych rozdziałach.

Nasuwa się pytanie jak względnie obiektywnie wskazać, które z towarzyszących wydarzeń tworzenia tego albumu były ważniejsze, a które mniej istotne. Trudne jest to dziś do ustalenia.

Ktoś kiedyś powiedział, że ważny jest pomysł. No tak - ale od jego powstania do praktycznej realizacji droga najczęściej jest daleka.

Bywa i tak, że wiele zrodzonych ciekawych pomysłów pozostaje tylko w sferze marzeń i wyobraźni.

Nam w Limanowej udało się!

Tego rodzaju przedsięwzięcie byłoby trudne do zrealizowania bez zaangażowania się w pracę ludzi emocjonalnie związanych z naszym miastem.

Dziękuję więc całemu zespołowi redakcyjnemu za duży wkład pracy w tworzenie tego albumu.

Dziękuję również władzom Limanowej, które wykazały daleko idące zrozumienie dla potrzeby wydania tego rodzaju publikacji, przyjmując rolę wydawcy.

Dlatego pozwolicie Państwo, że w imieniu zespołu redakcyjnego, myślę, że i także w imieniu społeczeństwa limanowskiego podziękuję za okazaną pomoc panu burmistrzowi miasta, przewodniczącemu Rady, jak również pani naczelnik Wydziału Promocji tego urzędu.



Fot. - Jakub Toporkiewicz

Szczególne podziękowania wyrażam tym wszystkim Państwu, którzy włączyli się w tworzenie albumu, przekazując bezinteresownie fotografie, które gromadzone przez dziesiątki lat w rodzinnych albumach dziś stały się świadkami przeszłości. Dziękuję również za te wspólne spotkania i dziesiątki godzin poświęconych pracy przy konsultacjach.

I na koniec pragnę posłużyć się fragmentem wstępu do albumu, który wyraża sens jego powstania: (...) *to nasze dziedzictwo materialne i duchowe, tworzone przez pokolenia przodków, rozkwitające przez wiele minionych dziesięcioleci pośród cichych i pozornie sennych uliczek małego, powiatowego miasteczka.*

Kiedy ogląda się ten nasz wspólny fotograficzny album owa galicyjska sennaś wyjada się być mitem wynikającym z nie zawsze prawdziwych stereotypów. Jakże bowiem bujne kwitło tu życie, jakże wspaniałych można było tu spotkać ludzi, jakże barwne pisały się tu życiorysy, jakież pasjonujące zdarzały się tu historie. Dzięki unikatowemu zestawowi starych fotografii udało się ocalić od zapomnienia to, co często było dotąd nieuświadomione, zapomniane lub niedocenione. Zechcemy przyjąć to dziedzictwo przedłużające naszą pamięć w głąb czasów.

(dokończenie ze strony 5)

Powrócił urok dawnych lat...

„... na prostej drodze bez zakrętu”

Dopełnieniem uroczystości stał się recital Jagi Wrońskiej, córki dr. Józefa Szymona Wrońskiego, która koncertowała w LDK po raz pierwszy. Repertuar tworzyły piosenki paryskiego Montmartru - dzielnicy artystów, sugestywnie wykonane przeboje Edith Piaf oraz piosenki krakowskie. Nie zabrakło też akcentów limanowskich - ze sceny rozległa się pieśń ku czci Maryi „Pani nasza Limanowska”. Piękny głos, ujmujący i bezpośredni sposób bycia artystki oraz urok śpiewanych piosenek na trwałe zapisały się w pamięci i sercach.



Uroczystość rozpoczęła piosenką mówiącą o nas, współczesnych „...na prostej drodze bez zakrętu”, żyjących w przekonaniu, że można wszystko zaplanować i przewidzieć, że nie ma zagadek i niewiadomych, a niemożliwe sentymenty należy odrzucić i zmierzać do celu.

A jednak przeczą temu wzruszenia i skupienie oraz żywe reakcje publiczności zgromadzonej podczas wieczoru w sali Limanowskiego Domu Kultury.

Zapewne wielu nie jeden raz w poszukiwaniu tych wzruszeń otworzy album „Okrucho pamięci” aby przywołać urok dawnych lat.

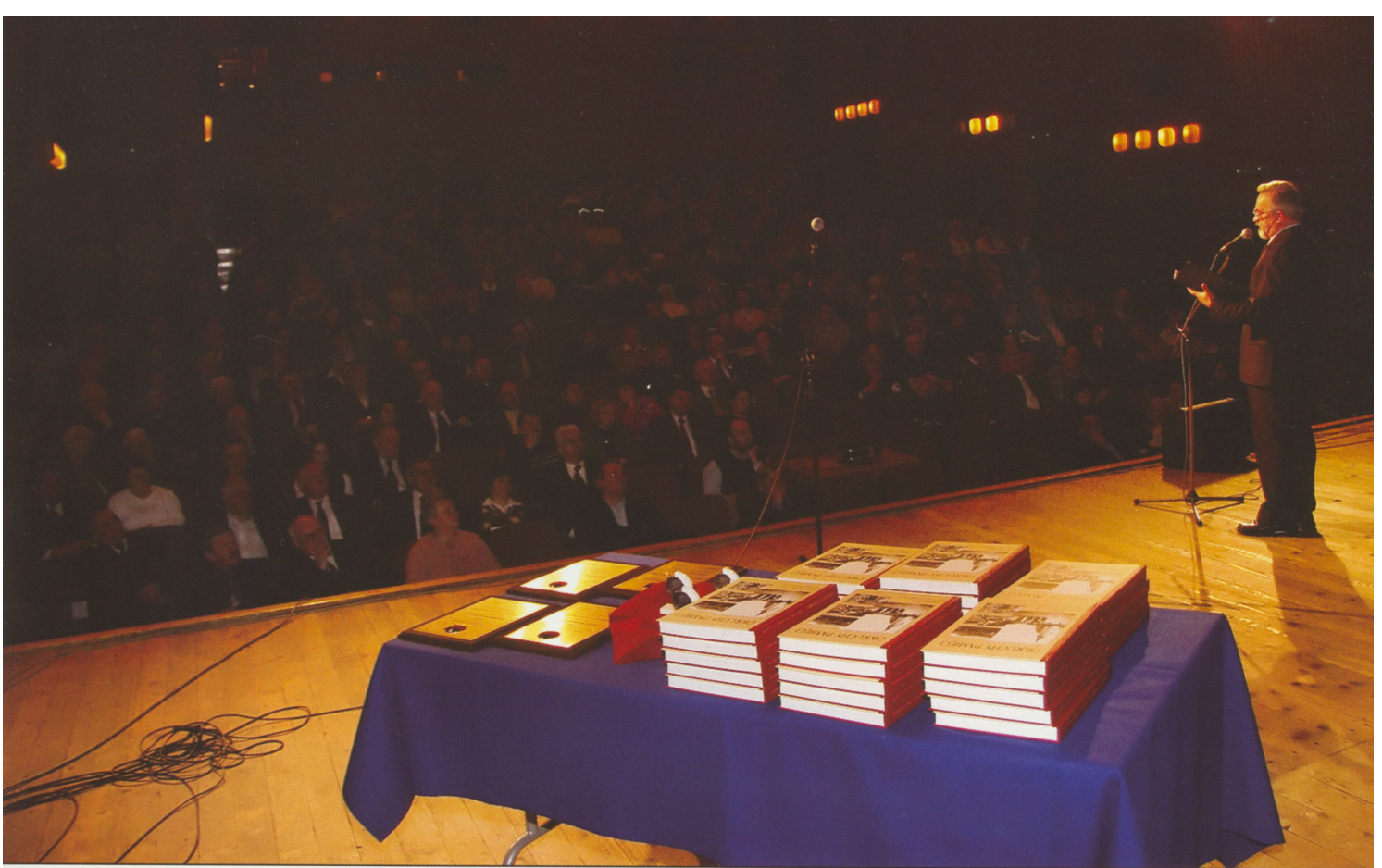
Opis fotografii:

Fot. 1 - Promocję albumu „Okrucho pamięci” prowadził Marian Wójtowicz.

Fot. 2 - Pierwsze spojrzenia na album.

Fot. 3 - Młodzież I LO po prezentacji programu „Odnaleziono to - co wydawało się pogubione”.

Fot 4 - Ryszard Kulma - przewodniczący Rady Miasta i Marek Czeczotka - burmistrz Limanowej wręczają medale „Przyjaciel Miasta”.



Fot. 1

PROMOCJA ALBUMU „OKRUCHY PAMIĘCI”

Fotografie: Franciszek Natanek

Fot. 2



Fot. 3



Fot. 4





Fot. 1



Fot. 2



Fot. 3



Fot. 4





Fot. 5

RUWENZORI TREKKING

Fot. 1 - Wspaniała dolina Bujuku pokryta dżunglą – zaginiony świat Arthura Conan Doyle'a.

Fot. 2 - Widok na jezioro Bujuku i las senecji (starce) - w drodze do Elena Hut.

Fot. 3 - „Zrzućmy” most w dolinie rzek Mubuku i Bujuku – dobrze, że jest.

Fot. 4 - Dzięki pomostowi pokonanie bagna Lower Bigo Bog stało się łatwiejsze.

Fot. 5 - Lodowiec na Stanley Plateau u podnóża Alexandra Peak z oddali wygląda bardzo zachęcająco.

Fot. 6 - Za chwilę ogarną nas chmury, w których nie będziemy latać, lecz starać się utrzymać na lodzie i nie wejść przez pomyłkę na Alexandra Peak.

Fot. 7 - Na pierwszym planie wspaniała lobelia (a dalej, nie wiedzieć czemu, „widzę” wieżowce Nowego Jorku).

Fot. 6



Fot. 7



ŻWIROWNIA

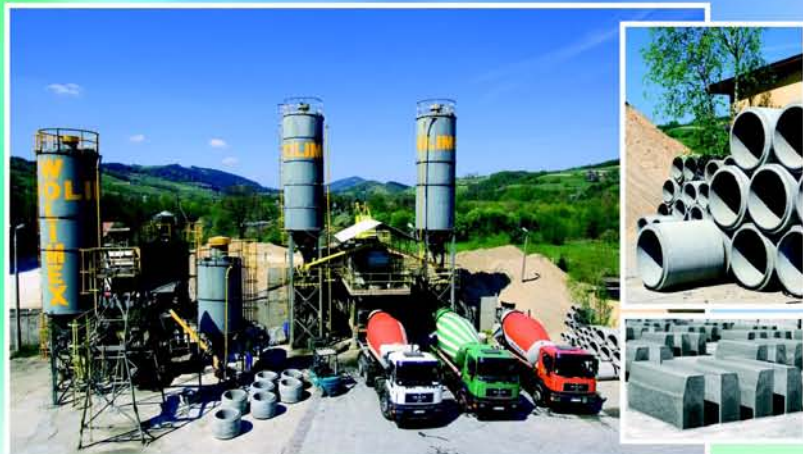
ZAKŁAD USZLACETNIANIA KRUSZYW NATURALNYCH 32-840 Zakliczyn, Charzewice
tel. 014 66 59 193, fax: 014 66 59 158

W nowoczesnym zakładzie uszlacetniania kruszyw naturalnych w Charzewicach k. Zakliczyna produkujemy kruszywa do betonu oraz do mieszanek mineralno - bitumicznych. Nasza oferta zawiera natępujący asortyment:

- piasek płukany 0-2 mm, grys 2-4 mm, grys 4-8 mm, grys 8-12 mm
grys 8-16, mieszanki mineralne 0-16 mm, pospółka 0-63 mm

WYROBY BETONOWE

Zakład jest producentem prefabrykatów betonowych, służących do regulacji rzek i potoków, oraz do budowy kanalizacji i dróg. Zabezpieczamy produkcję dla potrzeb własnych oraz odbiorców zewnętrznych



Posiadamy komputerowo sterowany węzeł betoniarski do produkcji masy betonowej.

Produkowane prefabrykaty betonowe:

- rury i kręgi betonowe
- pokrywy betonowe
- korytka ściekowe
- płyty chodnikowe
- obrzeża trawnikowe
- płyty ażurowe, jomb (małe i duże)
- płyty i krawężniki drogowe

Oferujemy również masę betonową wraz z transportem i pompą do betonu Stetter.

tel. 018 33 76 862



WOLIMEX

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWO-HANDLOWE

34-600 Limanowa, ul. Tarnowska 33, tel. (018) 33-76-100, fax (018) 33-76-159

<http://www.wolimex.com.pl>, e-mail: biuro@wolimex.com.pl



Limanowscy literaci atakują



Strona tytułowa wydawnictwa „Wszystko co nie jest prozą”.

Burmistrz Marek Czczotka powiedział natomiast kapitalną rzecz z punktu widzenia literatów i ich przyszłej działalności wydawniczej. Zapewnił, że jak zaistnieje potrzeba, to na pewno znajdą się środki na kolejne wydawnictwo. To się chwali. Przewodniczący Rady Powiatu Limanowskiego Jacenty Musiał podkreślił istotę regionalnych działań kulturotwórczych, pogratulował literatom wspólnego tomu i życzył sukcesów na przyszłość. Po wystąpieniach „oficjeli” nastąpiła część „artystyczna”. Swój minirecital szlagierów wyśpiewała Jolanta Gil, uczennica IV LO w Limanowej, młoda i bardzo utalentowana wokalistka. Następnie odtworzono multimedialną prezentację z podkładem muzycznym, opartą o zawartość książki i grafiki w niej się znajdujące. Ich autorką, jak też okładki, jest Joanna Tokarczyk, profesjonalna artystka grafik zajmująca się zawodowo m.in. projektowaniem coverów książek. Po prezentacji kilka słów o samym arkuszu, literaturze i pisaniu (radości pisania) powiedział Zbigniew Sułkowski, jeden z patronów i ojców założycieli limanowskiego klubu. Na sam koniec oficjalnej (ale tylko oficjalnej) części promocji mikrofon trafił w końcu w ręce samych zainteresowanych. Na różne sposoby, w kilku zdaniach - bo ich czas ograniczał odzywający się miarowo i nieubłagany oryginalny gong - zachwalali produkt i zachęcali do sięgnięcia po niego. Jak się potem okazało, skutecznie to czynili. A później już był tylko czas dla fotoreporterów, wywiady, rozmowy, autografy, dyskusje o tekstach. Być może dla co poniektórych w przyszłości będzie to chleb powszedni. Rokują dobrze, ale czy tak się stanie?

Oto jest pytanie.

WSZYSTKO CO NIE JEST PROZĄ zawiera różnorodne teksty 21 autorów. Zmyślnego tytułu wydawnictwa nie należy traktować literalnie. Książka jest do nabycia w limanowskiej MBP i wybranych miejskich księgarniach za kwotę, którą – mimo, że kryzys u bram – nijak nazwać wygórowaną nie można. Rekomendujemy.

Sławomir Łużny

Z perspektywy przeżytych lat

W dalszej części wspomnianego wiersza autor pisze:

Przy stole sami swoi.

*W rozmowach, melodiach i słowach pieśni
odnajdują małe ludzkie szczęścia.*

Rozdział trzeci *Sacrum*, jest szczerą rozmową o Bogu i z Bogiem. We wprowadzeniu do książki czytamy: *Elementem, który łączy wszystkie tematy twórczości poety, który staje się spoiwem nadającym lekkość i romantyczną głębię zadumy i zachwytu nad światem, jest poetycka kontemplacja przyrody.* Łatwo zauważyć, jak bardzo wiele łączy te dwie książki: *Okruchy pamięci* i *Nasz dom*.

Wspólne treści widziane z jednej strony jako zatrzymane w kadrze obrazy, wykonane setkami aparatów fotograficznych, z drugiej zaś widziane oczami wyobraźni autora, z perspektywy przeżytych lat.

Nasz dom ciepłym i fachowym wprowadzeniem opatrzyła Jadwiga Wrońska, polonistka, komparatystka, a jednocześnie artystka krakowskiego kabaretu Loch Camelot, która gościła z recitalem w Limanowskim Domu Kultury podczas promocji albumu *Okruchy pamięci*. Swoim spojrzeniem na poezję podzielił się z czytelnikami autor w tekście pt. *Słowo o poezji*.

Warto również wspomnieć, że książka ilustrowana jest rysunkami Aleksandra Majerskiego, cenionego w Polsce i za granicą artysty rzeźbiarza. Korekty tekstu dokonała Elżbieta Jąłoszewska-Wrońska, a nad całością od strony redakcyjnej czuwała Zofia Ociepka - polonistka z I Liceum Ogólnokształcącego im. Władysława Orkana w Limanowej. Dodajmy, że książkę *Nasz dom* podobnie jak album *Okruchy pamięci* można nabyć między innymi w sklepie sanktuaryjnym przy Bazylice M.B. Bolesnej.

Życzymy przyjemnej lektury

Miłośnicy poezji



Zbigniew Kazimierz Wrona, inż. geodezji. Urodzony 8 marca 1956 roku w Limanowej. Absolwent Akademii Rolniczej w Krakowie. W 2000 roku ukończył Studium Rodziny. Żonaty, pięcioro dzieci. Żona - lekarz okulista.

W latach 1980 – 2000 pracował w Wojewódzkim Biurze Geodezji i Terenów Rolnych w Nowym Sączu. Obecnie prowadzi własną działalność gospodarczą. Interesuje się lotnictwem, ma za sobą udane próby poetyckie. Nagradzany i wyróżniany w krajowych i międzynarodowych konkursach poezji. Wydał dwa tomiki pt. *A nadzieją się dziel jak chlebem* (1999 r.) oraz *Moje wiersze* (2000 r.). Ponadto jego utwory można znaleźć w pokonkursowych wydaniach książkowych, almanachach polskiej poezji religijnej oraz prasie krajowej, regionalnej i lokalnej. Jak sam mówi: *pisanie jest dla mnie chwilowym opuszczeniem geodezyjnego układu współrzędnych i przejściem ze świata liczb, do świata słów.*

Czasy się zmieniły i życie się zmieniło



Dwór w Mordarce.

Rodzinny nasz dwór stał w Mordarce. Wieś przylegająca do Limanowej od południowo-wschodniej części miasta rozsiała się szeroko w widłach dwóch traktów wiodących stąd do Nowego Sącza: górnego przez Wysokie i Trzetrzewinę, zaliczanego do najbardziej panoramicznych górskich gościńców i dolnego, mniej malowniczego przez Klęczany, znane od dawna z pierwszych kopalń ropy naftowej i kamieniołomu piaskowca magurskiego.

Przed północnymi wiatrami osłaniało Mordarkę porośnięte mieszanym lasem, należące do Beskidu Wyspowego, Pasma Łososińskie z najwyższymi jego szczytami Jaworzem (921 m n.p.m.) i Sałaszem (909 m n.p.m.). Sam zaś dwór stał u podnóża Łysej Góry. Należał do jednego z najciekawszych pod względem architektonicznym tego typu obiektów na ziemi sądecko-limanowskiej. Murowany, parterowy, zbudowany na rzucie prostokąta, posiadał dwa trakty podzielone korytarzami. Od frontu po bokach hallu były trzy pokoje, w tym obszerny salon i dwa pokoje zwane kolorowymi, wzdłuż drugiego korytarza po prawej stronie trzy pokoje, a po lewej dwa pokoje i kuchnia. Narożne pokoje miały sklepienia żagielkowe. Dwór był wieloosioowy, od frontu ozdobił go ganek na parzystych kolumnach z tympanonem i daszkiem przyczółkowym na szczycie. Od strony wschodniej był również ganek wsparty czterema kolumnami rozstawionymi na kwadracie. Balkon szczył się piękną tralkową balustradą. Specjalnego uroku nadawał charakterystyczny dla dworskiego budownictwa czterospadowy polski dach.

Dwór stał w otoczeniu starych lip, akacji i klonów tworzących piękny ogród krajobrazowy. Prowadząca od głównej bramy wjazdowej droga zataczała przed frontowym gankiem szeroki łuk wokół obsianego zazwyczaj narcyzami gazonu.

W zimowe poranki na szczelnie otulającym ogród i gazon puchu świeżego śniegu widoczne były tropy dzikiej zwierzyny zapuszczającej się nocą pod zabudowania dworskie w poszukiwaniu żeru. Rozszfrowywanie owych dziwacznie nieraz krzyżujących się z sobą śladów było pasją nie rozstającej się na co dzień ze strzelbą męskiej części mieszkańców dworu.

Ptactwo i czworonożnych bywalców pobliskich lasów przepląsała bezceremonialnie przejeżdżająca tuż obok dworskiego ogrodu, zbudowana w roku 1885, kolej żelazna łącząca Chabówkę z Nowym Sączem.

Parowa lokomotywa na wysokich kołach, z cienkim maczugowato zakończonym kominem wysyłającym pod sam szczyt Łysej Góry pióropusz burego dymu, sapiąc i gwizdząc niemilosiernie przed pobliskim przejazdem kolejowym ciągnęła za sobą sznur wagoników przypominających wy-

Stanisław Sitowski autor wspomnień urodził się w 1922 roku w Mordarce koło Limanowej w majątku swojego dziadka Jana Sitowskiego jako najmłodszy syn Eustachego Sitowskiego i Lucyny z domu Rekiert. W dworze w Mordarce spędził wczesne dzieciństwo. Lata późniejsze to pobyt na Górnym Śląsku. Edukację w katowickim liceum ogólnokształcącym przerywa mu w roku 1939 wybuch II wojny światowej. Pierwsze miesiące wojny spędził we Lwowie. Uczęszczał tu do ostatniej maturalnej klasy. Nauka w dziesięciolatce nie trwała do końca. Gdy zbliżał się czas matury 3 maja 1940 roku, a więc tuż przed egzaminami maturalnymi opuścił Lwów. Powodem wyjazdu była ucieczka przed nieuchronną mającą nastąpić deportacją w głąb Związku Radzieckiego. Rodzina autora była na liście przyszłych zesłańców. W Generalnej Guberni, do której powrócił przez cały czas trwania wojny pracował zarobkowo. Między innymi: w lasach Adama hr. Stadnickiego pełnił funkcję adiunkta przy sporządzaniu operatu leśnego w rejonie Łabowej i Rytra. Zmobilizowany do Baudienstu w Nowym Sączu pracował ciężko przy układaniu torów kolejowych. Po dwóch miesiącach służby uciekł i ukrywał się w Grywałdzie koło Krościenka w domu Jana Dziewolskiego, z którym powiązany był rodzinnie. Tu została wyrobiona mu przez wójta Krościenka inż. Władysława Grotowskiego fałszywa Kenkarta na nazwisko Józef Wądołny. Z Grywałdu pod zmienionym nazwiskiem i jako o 4 lata starszy wyruszył w okolice Proszowic, gdzie w majątku hr. Potockiego Piotrowice Małe pracował prawie do końca wojny.

Po wojnie losy rzuciły go po krótkim pobycie na Ziemi Krakowskiej do Szczecina, gdzie jako jedyną wówczas uczelnię wyższą otwarto Akademię Handlową. Z braku możliwości wyboru studiował nauki ekonomiczne, specjalizując się w finansach i rachunkowości.

Od czterdziestu lat związał się na stałe z Gliwicami, gdzie do przejścia na emeryturę pracował zawodowo w naukowo-badawczym Instytucie Metali Nieżelaznych. Jest biegłym sądowym w dziedzinie finansów i ekonomiki przedsiębiorstw.

Z zamiłowania turysta. Wędruje nieustannie po górach. Jego dwie pasje życiowe to: pisanie wierszy poświęconych górcom i zamiłowanie do muzyki.



Przed dworem w Mordarce.



glądem małe domki, do których wchód był bocznym pomostem. Ileż radości bawiącym się w ogrodzie dzieciom sprawiało strojenie małych min, a wieczorami wymachiwanie kolorowymi lampionami do podróży wyglądających przez okna wolno przejeżdżającego pociągu!

Do dworu należała gorzelnia i dwie karczmy dzierżawione przez Żydów: jedna na tzw. Gwizdówce, druga w środku wsi. Całym majątkiem dworskim zajmował się karbowy Franciszek Golonka. Mieszkał wraz z rodziną w oddzielnym budynku zwanym murowanecem (dawny spichlerz). Na kształcenie jego syna, który został księdzem, łożyli właściciele dworu.

Z początkiem pierwszej wojny światowej Limanową i okoliczne wsie wraz z Mordarką zajęli Rosjanie. W pobliżu mordarskiego dworu toczyły się zaciekle walki Austriaków z Rosjanami. Walczyło tam 2000 austriackich dragonów pod dowództwem płk. Reticha wspieranych przez stacjonujący w Chyszówkach 5 batalion Legionów Polskich Józefa Piłsudskiego, znaczący tamtędy swój bojowy szlak do Gorlic i dalej na wschód.

Pamiętna bitwa pomiędzy wojskami rosyjskimi i austriackimi stoczona została w dniach 8-11 grudnia 1914 r. na wzgórzu Jabłonec, którego stoki opadają na Mordarkę, Starą Wieś i Siekierzynę. Wojska sprzymierzone ustawiły swe działa koło Łysej Góry, w Mordarce, na Górach Sowińskich i na Lipowem. Rosjanie ustawili



Rodzina Sitowskich - 1911-1912 rok. Siedzą od prawej: ??, Jan Sitowski z żoną Zofią z Myszkowskich, obok córki (od lewej): Henryka i Maria Dziewolska z dziećmi: ??, Adamem, Haliną, Stanisławem.

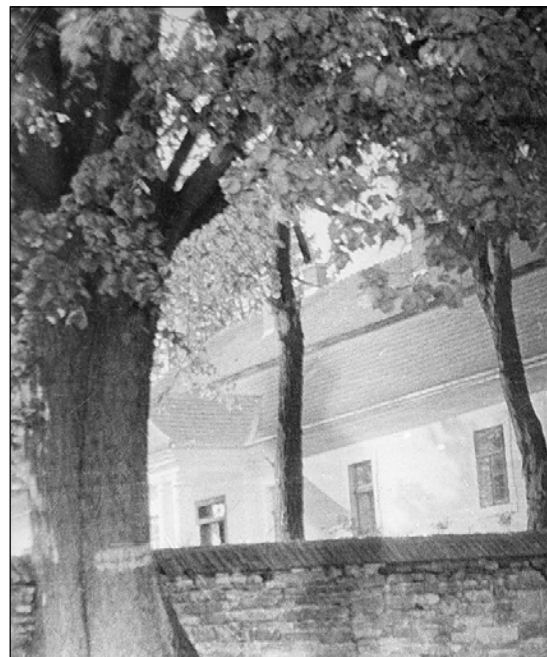
armaty w pobliżu stacji kolejowej w Pisarzowej i na wzniesieniach Siekierzyny. Bitwa zakończyła się klęską wojsk rosyjskich. Szalę zwycięstwa przechylił atak węgierskich huzarów Otmara Muhra, który poległ w boju. Na wzgórzu Jabłonec pozostał po dziś dzień jeden z największych w Polsce cmentarzy wojennych!

Mordarski dwór był bardzo mocno ostrzeliwany. W jego murach i filarach utknęło 12 kul armatnich, a mimo to szczęśliwie ocalał. Miejscowa ludność przypisuje to Matce Boskiej Limanowskiej.

W roku 1930 dwór znacznie rozbudowano, co zmieniło nieco jego pierwotny charakter. Na dostawionym piętrze przybyło



Od lewej: Eustachy Sitowski, Henryka Sitowska, Maria Bogaczewicz-Pilna, ??, Władysława Sitowska-Gibas, ??.



Dwór stał w otoczeniu starych lip, akacji i klonów.

dziewięć pokoi. Wysokie walory klimatyczne Mordarki, malownicze górskie okolice Beskidu Wyspowego i pobliskich Gorców, dogodny dojazd zarówno koleją jak gościńcem, przyciągały do dworu licznych gości. Tych nie należących do kręgu najbliższej rodziny przyjmowano na warunkach pensjonatowych, wedle panującego w galicyjskich dworach zwyczaju!

Pod koniec drugiej wojny światowej część dworskich pokoi zajęli Niemcy dla potrzeb sztabu wojskowego. W pamiętnym dniu 18 stycznia 1945 r. wysiedlili ze dworu wszystkich jego mieszkańców. Część z nich znalazła tymczasowe schronienie w sąsiednim domu Dutków i nieco dalej pod lasem u rodziny Wojciecha Matrasa, dawnego dworskiego fornała.

Nazajutrz dwór zajęli Rosjanie. Według opowiadań naocznych świadków pijani rosyjscy żołnierze demolowali wnętrze domu. W tym też dniu dał się słyszeć silny wybuch i cały dwór ogarnął wielki pożar. Nie wiadomo do dziś, czy żołnierze rosyjscy zaprószyli przypadkowo ogień, czy celowo podpaliли dwór przed odejściem. Piękny zabytkowy obiekt spłonął niemal doszczętnie. Ogień strawił secesyjne meble, dwa fortepiany, dużą ilość książek i nut, cenne obrazy, portrety rodzinne i wiele innych wartościowych rzeczy.

Na miejscu spalonego dworu sterczy fragment muru z balkonową balustradą. Z zabudowań dworskich ocalał jedynie murewaniec. Przetrwiała również do dziś piękna ongiś dworska aleja i przydrożna kapliczka.

Kapliczka stoi pod rozłożystą wiekową lipą. Wieść niesie, że wzniesiono ją prawdopodobnie w drugiej połowie XVI wieku w celu uchronienia przed zniszczeniem przywiezionej z Węgier figurki Matki Bożej Bolesnej. Działo się to w okresie reformacji, kiedy przejmowane przez luteran i kalwinistów kościoły оголаcano z rzeźbionych i malowanych wizerunków świętych. Figurka przedstawia piętę. Wykonana jest z jednolitego pnia lipowego. Matka Boża ubrana w czerwoną suknię oraz płaszcz o kolorze turkusowo-niebieskim trzyma na kolanach zdjęte z krzyża umęczone ciało Chrystusa. W postaci Maryi widoczne jest dostojeństwo cierpienia.

Nie udało się dotąd ustalić dokładnie ani miejsca, ani warsztatu, w którym powstała pieta. Według niektórych historyków sztuki (prof. Józef Dutkiewicz) mogła to być śląska szkoła rzeźbiarska z okresu 1300-1375.

Figurka otaczana była przez lud miejscowy i okoliczny wielką czcią, o czym świadczyły składane w kapliczce liczne wota i podziękowania za łaski. Z biegiem lat kapliczka stała się miejscem zgromadzeń wiernych. Toteż w roku 1743 proboszcz limanowski ks. Stanisław Liskiewicz postanowił przenieść figurkę z Mordarki do limanowskiego kościoła parafialnego. Decyzji tej przeciwstawił się jednak stanowczo ówczesny dzierżawca dworu Walenty Gurzański. Księża limanowscy złożyli na niego skargę do Kurii Diecezjalnej w Krakowie i uprzedzając decyzję Kurii na zakończenie misji parafialnych, w uroczystej

procesji przenieśli figurkę do kościoła w Limanowej. Nie mogąc się z tym pogodzić Walenty Gurzański napadł nocą na kościół i zabrał z powrotem figurkę do mordarskiej kapliczki.

O miejsce dla figurki trwał jeszcze spór przez długie lata. Był rok 1779 kiedy umieszczono ją ostatecznie w nowo wybudowanym po wielkim pożarze limanowskim kościele parafialnym. Kościół ten przetrwał do roku 1910. Wtedy to staraniem ówczesnego proboszcza Kazimierza Łazarskiego wzniesiono nową świątynię tym razem murowaną z miejscowego kamienia, według projektu znanego wówczas architekta Zdzisława Mączyńskiego. Kościół ten ze względu na kompozycję i wystrój postrzegany jest jako najbardziej polski z polskich kościołów. Jego wnętrze ozdabiają liczne rzeźby i płaskorzeźby wykonane przez Wojciecha Durka. Niepowtarzalny charakter nadają mu witraże, których twórcą był między innymi Józef Mehoffer. Przepiękna ambona jest dziełem Władysława Druciaka, rzeźbiarza rodem z Krościenka n/D. Wśród symboli patriotycznych na uwagę zasługuje wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej wpleciony w mozaikę nad prezbiterium, upamiętniający stulecie Konstytucji 3-Maja oraz na froncie kościoła orzeł polski w koronie z datami 1791-1891.

Cudowną mordarską figurkę Matki Bożej Bolesnej umieszczono w głównym ołtarzu. W wyniku starań biskupa Jerzego Ablewicza stolica apostolska wydała w roku 1963 bullę koronacyjną, a w trzy lata



Spotkanie towarzyskie we dworze w Mordarce.

później arcybiskup Karol Wojtyła w pamiętnym roku milenijnym dokonał uroczystej koronacji figurki Matki Bożej Bolesnej. W dwadzieścia lat później Karol Wojtyła już jako Ojciec Święty w czasie swej drugiej pielgrzymki do ojczyzny rekoronował piętę na Błoniach Krakowskich.

W Mordarce w miejscu dawnej kapliczki drewnianej pod rozłożystą starą lipą wzniesiono nową murowaną. W ołtarzyku umieszczono kopię piety wykonaną prawdopodobnie przez miejscowego rzeźbiarza Teodora Twaroga. Nie opodal kapliczki znajduje się źródło, z którego od niepamiętnych czasów pielgrzymi biorą wodę pomocną w różnych schorzeniach.

Historia mordarskiego dworu sięga początków XV wieku. Była to wtedy własność szlachecka w rękach rodziny Skarbów. Od niej odkupił Mordarkę Mikołaj Słupski herbu Drużyna ze Słupii koło Szczyrzyca. Kolejnymi właścicielami, od początków XVI wieku była bardzo zamożna rodzina Jordanów herbu Trąba wywodząca się z Zakliczyna. W skład dóbr wchodziły oprócz Mordarki wsie Limanowa (zwana wówczas Ilmanową), Lipowe, Sowliny i Stara Wieś. W drugiej połowie XVII wieku Mordarką, Limanową i Starą Wsią zarządzała Katarzyna Lipska, a od początków XVIII wieku Mordarka była własnością Teresy z Lipskich Dębińskiej. Dzierżawili ją przez dłuższy czas kolejno Tomasz, Jan i Walenty Gurzyńscy. W roku 1752 Mordarka przeszła w ręce rodziny Dydyńskich, spokrewnionych z poprzednimi

właścicielami. Z kolei w roku 1818 wieś kupił Ignacy Dunikowski i przekazał swojej córce Ewie, która wyszła za męża za Józefa Wielogłowskiego, dzierżawcę wsi Stare Rybie. Odtąd przez szereg lat Mordarkę dziedziczyli wspólnie potomkowie Wielogłowskich. Ostatecznie właścicielami całej Mordarki wraz z folwarkiem Bąkówka stali się Anna z Wielogłowskich ze swym mężem Sewerynem Głębockim, odkupując od spadkobierców ich części spadkowe. Głęboccy znani byli w okolicy z urządzania we dworze hucznych zabaw, pikników i polowań. Po śmierci Seweryna Głębockiego Mordarkę kupili małżonkowie Matuzińscy, a w roku 1894 sprzedali ją Edmundowi i Anieli Wójtowiczom. Po niespełna ośmiu latach Mordarkę nabyła Zofia z Myszkowskich, żona sędziego Jana Sitowskiego.

Sitowscy pieczętowali się herbem Bróg². Z początkiem XIX wieku część rodu wyemigrowała na Węgry. Stąd znanym tam familiantem Jana Sitowskiego był jego imiennik (vel Szitowsky), arcybiskup rzymskokatolicki, prymas Królestwa Węgierskiego.

Ojcem Jana był Karol Sitowski. W edukacji pomagał mu finansowo stryj Kazimierz, zamożny proboszcz w dużej parafii Ropa położonej nad rzeką o tej samej nazwie, niedaleko Grybowa. Karol pracował w sądownictwie, ożeniony był z Marią z Naydrów, córką dzierżawców dóbr tymbarskich, wychowanką klasztoru PP klarysek w Starym Sączu. Od roku 1858 mieszkali we własnym domu w Limanowej przy ul. Dworcowej.

Jan Sitowski umiłował góry. W cieniu starych drzew malowniczo położonego mordarskiego dworu wolny czas poświęcał pracy literackiej. Miłośnik dawności i staropolskiego obyczaju cofał się do własnych przeżyć i doświadczeń. Stworzył dwa cykle złożone z ośmiu szkiców. Cykl pierwszy, wcześniejszy, objął wspomnienia o sobie, a przede wszystkim o ludziach i stosunkach.

Jan Sitowski pisał w jednym ze swoich szkiców: *Dworki szlacheckie cechowała staropolska gościnność, dobroć i poświęcenie. W czasie karnawału odbywały się w tych dworach tradycyjne kuligi oraz huczne zabawy. Młodzież męska o bujnym, romantycznym i wulkanicznym temperamencie, ochocza, dziarska i zręczna hulala z wielkim animuszem do upadłego, piła na umór, a podpojona orkiestra rżnęła od ucha z całej mocy po strunach, siarczyście na bij zabij. W oczach płci pięknej paliły się iskry niebywalej wesołości. W salach, w których tańczono zdawało się, że nastąpi trzęsienie ziemi. Tylko we dworach szlacheckich na wsi można było się tak bawić...*

Wątek drugi objął przegląd dworów i dworaków, ich właścicieli i ich życia. Cykl ten powstał z pragnieniem zachowania w pamięci tego charakterystycznego typu budownictwa znikającego szybko z polskiego krajobrazu, jak również zachętą dla autora była odezwa Oddziału Towarzystwa Ludoznawczego w Zakopanem, wzywa-

▶ jąca do rejestracji dworków podhalańskich. Cykl oparty został na studium ksiąg hipotecznych, do których autor jako długoletni pracownik sądowy miał łatwy dostęp. Zabrakło w nim jednak niestety architektonicznego opisu dworków.

Osobną pozycję stanowi przebieg wydarzeń z 1914 r. noszący tytuł: *Echa bitwy w Mordarce i na Jabłońcu stoczonej w 8 - 11 grudnia 1914.*

O szkodach i stratach, jakie przyniosła przetaczająca się przez Limanowszczyznę pierwsza wojna światowa, pisał Jan Sitowski: *Dwór w Mordarce! Jakże inny dawniej i dziś. Pomni okolica jak kiedyś tam było szumno i gwarno. Dostatek panował, trzęsły się apteczki, tłukły się moździerze - jakby imć pan Rej z Nagłowic powiedział - a butelki strzelały, gdy tłumna gościna się zjechała. Malalo i ubywało wszystkiego, aż wojna zmieniła do cna życie we dworze mordarskim. Nie szczuki, jelenie i losie, ale przestarzałe ziemniaki i kapusta łońska oraz mieszaneczka wojenna i chude mleko. Ongiś w stajniach para koni cugowych, 4 pary fornalskie, 5 par wołów, 20 krów, moc jałownika, w chlewach pełno nierogacizny. Wojna wszystko wymiotła, para szkap się utrzymała, cztery krowięta i jedna mała świnka mizerna. By utrzymać i tę żywinę trzeba jej wszystko kupić. Ongiś 12 przegród spichlerzowych pełnych zboża, dwie duże stodoły wypchane zbożowym, dziś w przegrodach myszy otłukują swe kości, a w stajniach resztki nawozu kozackich koni. Czasy się zmieniły i życie się zmieniło.*

Jan Sitowski zmarł w Mordarce w mroźny styczniowy dzień roku 1922. Pochowany jest w skromnym rodzinnym grobowcu na cmentarzu w Limanowej. Jego dorobek piśmienniczy stanowi niewątpliwie cenny przyczynek do poznania życia i obyczajów polskiej szlachty na ziemi sądecko-limanowskiej w drugiej połowie dziewiętnastego i w początkach dwudziestego stulecia. Niemalą wartość poznawczą mają także opisywane prawniczym językiem stosunki własnościowe posiadaczy ziemskich.

Żoną Jana Sitowskiego była Zofia z Myszkowskich. Urodziła się w Świdniku na ziemi starosądeckiej, gdzie gospodarował jej ojciec trojga imion Jan Feliks Jakub Myszkowski herbu Jastrzębiec, ożeniony z Walerią z Borkowskich. W certyfikacie szlachectwa zapisano, że jego przodkowie w XIV w. byli właścicielami dóbr Myszkowice w Księstwie Siewierskim.



Kapliczka dworska w latach międzywojennych przy majątku Sitowskich. Od 1956 roku stała się formalnie własnością parafii.

Rodziny w owych czasach były wielodzietne. Jan i Zofia Sitowscy mieli trzy córki i pięciu synów: Kazimierza, Karola, Eustachego, Ludwika, Tadeusza. Władysławę ożeniono z Izydorem Gibasem, Marię z Romualdem Dziewolskim, a Henryka wyszła za mąż za Jana Kloza.

Najmłodszy Tadeusz otrzymał majątek rolny Równopol na Wileńszczyźnie, niedaleko Oszmiany. Był absolwentem Wyższej Szkoły Rolniczej w Cieszynie. Gospodarował w Równopolu, pełniąc jednocześnie urząd agronoma powiatowego w pobliskiej Oszmianie. Malowniczą drogę do pracy wśród pagórków i „pól posrebrzanych żytem” przemierzał na motocyklu. Aż sielskie dworskie życie w Równopolu przerwała inwazja wojsk sowieckich na Polskę we wrześniu 1939 r. Tadeusz Sitowski wyrzucony brutalnie z majątku, załamany dramatycznym przebiegiem wypadków, zmarł wkrótce po wkroczeniu bolszewików na udar serca.

Najstarszy Ludwik poświęcił się pracy naukowej. Pod koniec roku 1919 powołany został w nowo powstałym wydziale rolno-leśnym na profesora nadzwyczajnego, gdzie zorganizował od podstaw Zakład Zoologii i Entomologii wraz z pracowniami i podręcznym muzeum zoologicznym. Z kolei pod koniec roku 1921 został profesorem zwyczajnym. Był dziekanem wydziału rolno-leśnego, a w roku akademickim 1925/1926 rektorem uczelni. Jako rektor, na wniosek senatu uczelnianego, podpisał protest przeciwko przewrotowi majowemu, za co został zdjęty ze stanowiska. Piłsudski, jak wiadomo, w Wielkopolsce nie był popularny.

Ze szczególną pasją badał Ludwik Sitowski faunę Pienin, z którymi związany był od najmłodszych lat, a później poprzez małżeństwo z Zofią Dziewolską, córką współwłaściciela dóbr krościeńskich.

Już od roku 1922 działając w Komisji Ochrony Przyrody, której przewodniczył prof. Władysław Szafer, Ludwik Sitowski nawoływał do uznania Pienin za rezerwat przyrody. Jego troska o losy pienińskiej przyrody zaliczanej do fenomenów na skalę światową brała tu wyraźnie górę nad partykularnymi interesami właścicieli ziemskich. Do rodziny Dziewolskich należały mające stać się niebawem Parkiem Narodowym obszary leśne pokrywające masyw Pieninek o powierzchni ok. 370 hektarów.

Wkład Ludwika Sitowskiego do poznania fauny Pienin jest bardzo duży i na wielu odcinkach pionierski. Jako uczony wszedł do fachowej literatury światowej³.

Kazimierz ożeniony niezgodnie z wolą rodziców, osiadł w rodzinnej wsi swojej żony Wysokie, malowniczo położonej przy gościńcu wiodącym z Limanowej do Nowego Sącza. Żle żeniących się zazwyczaj wydziedziczano i trochę podobny los spotkał Kazimierza. Do ślubu w limanowskim kościele, skromnego zresztą, wieziony był ponoć najgorszymi końmi i najgorszym powozem.

Inny z synów Karol zamieszkał w Warszawie. Był radcą w Ministerstwie Spraw Wojskowych, a ponadto pasjonowała go medycyna, którą zajmował się amatorsko. Lekarzem dermatologiem został dopiero jego syn Zbigniew.

Wreszcie Eustachy. Ukończył studia polonistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pod koniec lat dwudziestych na sku-

tek konfliktów rodzinnych wywołanych na tle majątkowym (a było to już po śmierci Jana Sitowskiego) Eustachy opuścił Mordarkę i przeniósł się wraz z rodziną na Górny Śląsk. Do wybuchu drugiej wojny światowej pracował jako profesor gimnazjalny, ucząc języka polskiego i łaciny, później był wysokim urzędnikiem kuratorium szkolnego w Katowicach. Eustachy Sitowski wraz z żoną Lucyną z domu Rekiert, z wykształcenia germanistką, i z pięciorgiem dzieci zajmował sześciopokojowe mieszkanie w domu pod Katowicami. Była tam jakby druga szkoła rozbrzmiewająca po południu fragmentami dzieł Goethego i Schillera, które ze swoimi córkami gimnazjalistkami przerabiała cierpliwie żona Eustachego. W innym pokoju skandowano głośno „Metamorfozy” Owidiusza...

Śląski dom Eustachego i Lucyny Sitowskich rozbrzmiewał również wspaniałą muzyką. Eustachy grał na skrzypcach. Był to bardzo cenny stary instrument, który otrzymał jeszcze w Mordarce od swojego ojca. Reszta rodziny grała na fortepianie.

Najmłodszy syn Lucyny i Eustachego Stanisław Sitowski nie przypuszczał w chłopięcym wówczas wieku, że wypadnie mu po latach opisywać rodzinne dzieje.

Dziś w Mordarce jest podworska resztówka: murowaniec (dawny spichlerz), stodoły i obora. Na jednym z drzew zabytkowej alei przybito tabliczkę: „Teren prywatny”. Wejścia bronią ostre psy. Gospodarują tam potomkowie Władysławy Gibasowej, najstarszej córki Jana i Zofii Sitowskich, która po dokonaniu podziałów

majątkowych była ostatnią właścicielką dworu. Wyszła za mąż za Izydora Gibasa, radcę prawnego w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Gibasowie mieli czworo dzieci: Marię, Zofię, Tadeusza i Andrzeja. Mąż Marii Władysław Bochenek ukończył wyższe studia rolnicze. W okresie drugiej wojny światowej jako oficer Wojska Polskiego dostał się do jenieckiego obozu w Murnau. Bochenkowie wydali córkę Barbarę za Jerzego Biedronia i to jego czterej synowie gospodarują na mordarskiej resztówce, hodując krowy.

Andrzej Gibas ukończył w Krakowie wyższe studia z zakresu geografii i uczył tego przedmiotu w Liceum Ogólnokształcącym w Limanowej. Starszy od niego Tadeusz, absolwent Akademii Górniczo-Handlowej w Krakowie jest z tytułem profesora zwyczajnego pracownikiem naukowym Instytutu Obróbki Skrawaniem. Druga córka Izydora i Władysławy Gibasów Zofia wyszła za mąż za lekarza kardiologa Edwarda Merkowskiego, wdowca, którego pierwsza żona była Rosjanką. Początkowo mieszkali w Warszawie, z kolei przez pewien czas w Krościenku n. Dunajcem, w zabytkowej plebani zwanej „Na Folwarku”. Ostatecznie na stałe powrócili do Mordarki. Zofia Merkowska utrzymywała żywe kontakty z okolicznym ziemiaństwem. Lubiała jeździć konno, najczęściej odwiedzanymi sąsiadami byli Żuk-Skarzewscy w nieodległej Przyszowej.

Po podziałach majątkowych Zofia Merkowska wybudowała na parcelach dworskich dom. Stoi w dużym ogrodzie w pobliżu zabytkowej alei. Spogląda z nostal-

gią w stronę dawnej siedziby rodu. Mieszka w nim wraz z bliźniaczym bratem Janem i rodziną córka Zofii Merkowskiej Małgorzata. Tradycyjnie gościnna i otwarta na kontakty rodzinne wyciąga z szuflad poźółłke albumy ze starymi fotografiami mieszkańców dworu, ciotek w fin de siècle'owych kapeluszach, wujów w obcisłych bryczesach, bawiących się wokół gazonu dzieci. Opowiada chętnie zasłyszane kiedyś dawne dzieje mordarskiego dworu.

¹ Zakonnik Andrzej Klimuszko napisał w książce pod tytułem „Wróćmy do ziół”, że najbardziej korzystne dla zdrowia są tereny położone pomiędzy miejscowościami Rabka, Mszana, Limanowa, Krościenko.

² Według Encyklopedii Zygmunta Głogera bróg jest to stóg siana lub zboża pokryty ruchomym daszkiem. Bróg jako herb polski przedstawia w czarnym polu żółty bróg na zielonej murawie. Herb ten nazywa się inaczej Brożyna, Laski lub Leszczyc.

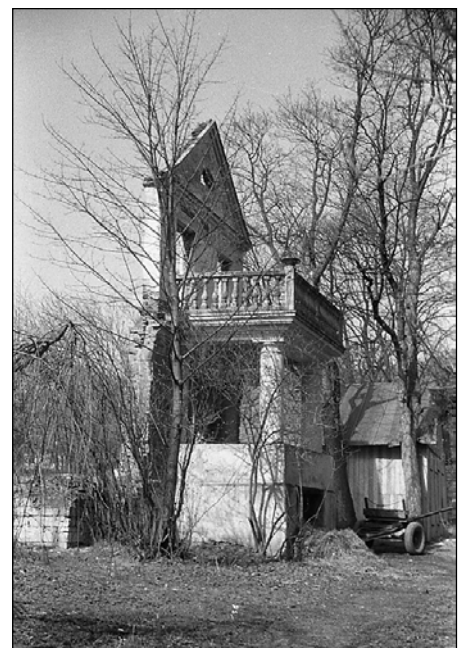
³ Biografia i dorobek naukowy Ludwika Sitowskiego zostały szczegółowo przedstawione przez prof. Andrzeja Dzieczkowskiego z Uniwersytetu Poznańskiego zamieszczone w Polskim Słowniku Biograficznym.

Archiwalne fotografie udostępniła: Małgorzata Merkowska Opracował: Stanisław Ociepka

Jest to wybór fragmentów tekstów z publikacji Stanisława Sitowskiego pt. „Rodem z Ziemi Sądeckiej”, wydanej własnym nakładem - Gliwice 2003.



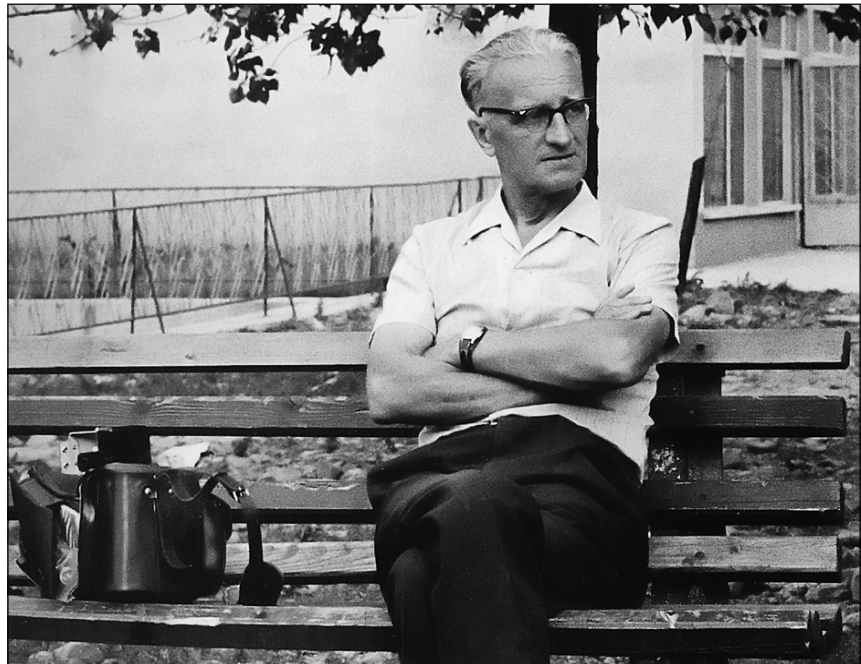
Resztki ganku z balustradą tralkową dworu „Pod Lipą” w Mordarce. Dwór został spalony przez Rosjan w styczniu 1945 roku.



Są chwile, których się nie zapomina, są miejsca i wydarzenia, do których się wraca myślami setki razy, są osoby, które nie przemijają.

Profesor Józef Staniszewski całe swoje życie związał z pracą w limanowskim Liceum, ucząc w nim przez 28 lat. Już za życia stał się legendą szkoły. Był człowiekiem z zasadami, których przestrzegał i nigdy nie złamał. Bardzo wymagający wobec siebie i innych. Nie znosił taniego blichtru, konformizmu, kunktatorstwa, serwilizmu, bumelanctwa, bylejałości, pozorowania pracy, kombinatorstwa. Żądał od uczniów uczciwości, solidności, rzetelności, odpowiedzialności i prawdomówności. W tej ascetycznej wydawałoby się postaci krył się człowiek wrażliwy na piękno, ludzką biedę, nieszczęście. Zawsze rzeczowy, powściągliwy, precyzyjny w mowie a niekiedy nawet oschły, pozornie tylko nie poddawał się uczuciom. W gruncie rzeczy nie był człowiekiem obojętnym, kochał swoją małą ojczyznę, w której mieszkał i ludzi, którym mógł zaufać i na których mógł polegać. Zdarzało się, że udzielał pomocy finansowej będącym w potrzebie, pomagał na miarę swoich możliwości, zawsze dbając o zachowanie anonimowości. Posiadał liczne pasje, z których szczególnie hołubił turystykę, fotografię czarno-białą, przyrodę i góry.

Wspomnienie o Józefie Staniszewskim



Józef Staniszewski (1909 - 1995)

Fotografie Józefa Staniszewskiego



Ulubionym tematem profesora były: wierzby, kapliczki, życie codzienne mieszkańców Limanowej oraz sztuka ludowa (dokumentował prace limanowskich twórców).

Kochał młodzież a praca z nią stanowiła cel jego życia. Chciał jej przekazać nie tylko wiadomości, ale ukształtować na dobrych obywateli dbających o interesy państwa. Był wychowawcą i nauczycielem wielu pokoleń uczennic i uczniów limanowskiego liceum, ucząc matematyki i fizyki. We wszystkim, co go otaczało, w przyrodzie i w całym wszechświecie dopatrywał się ręki Stwórcy, żywiąc dla niego ogromną cześć. Toteż w prawach matematyki i fizyki również dostrzegał wspaniałą harmonię panującego idealnego ładu i mądrości Stwórcy. Był wielką niepowtarzalną osobowością, człowiekiem o silnym i niezłomnym charakterze, głębokim życiu wewnętrznym. Wszystko, co robił było przemyślane i zaplanowane z matematyczną dokładnością. Nie zdawał się na przypadki, nie improwizował. Posiadał swoje poglądy, których bronił, ale umiał też przyznać rację innym. Emanowała z niego osobista kultura, piękno mowy oraz zachowania. Pomagał nam wkroczyć w dorosłe życie.

Był wychowawcą i nauczycielem wymagającym, ale sprawiedliwym, pedagogiem o szerokich horyzontach myślowych. Do legendy szkoły przeszło jego sławne powiedzonko: siadaj sobie, kropkę Ci dwóję. Nie było w tym cienia złośliwości, tylko dezaprobata z powodu nie

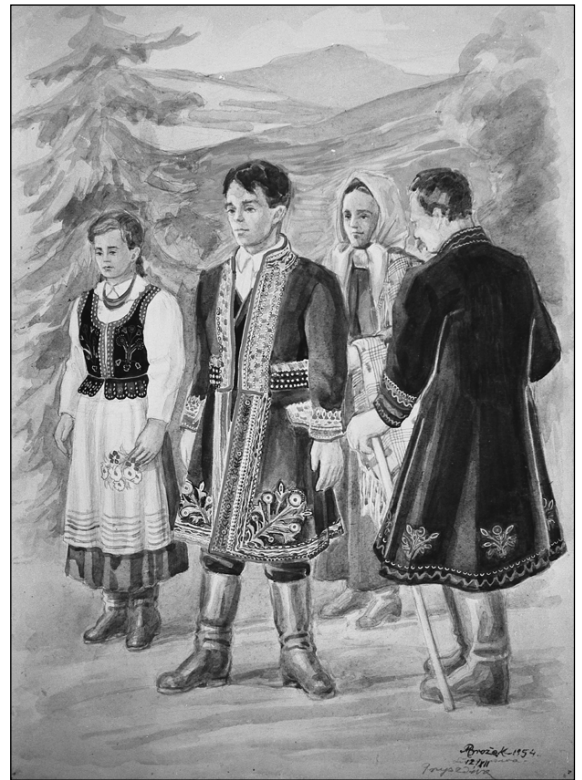
nauczenia się lekcji, nie odrobienia zadania, nie wykonania jego polecenia, zwykłego lenistwa, czego nie tolerował. Był szczególnie wymagającym wobec dobrych uczniów z matematyki i fizyki. Pamiętam lekcje matematyki, w czasie której napisał na tablicy zadanie, zwracając się do klasy: kto go rozwiąże? W klasie zapanowała cisza jak makiem zasiał. Baliśmy się, że wywoła kogoś z nas i będzie kłapa. Nagle nieśmiało uniosła się ręka Tadzia, którą profesor w końcu zauważył. Powiedział wówczas: chodź do tablicy i rozwiąż to zadanie. Tadzio skradającymi się krokami, idąc bokiem, ocierając się o ściany klasy dotarł do tablicy, wziął kredę i po pewnym czasie rozwiązał zadanie. Na to profesor: to powiedz mi jeszcze - i tu zapytał go o twierdzenie matematyczne. Po chwili, nie wiesz? Siadaj sobie, kropkę Ci dwóję. Profesor nie mógł zrozumieć, jak taki dobry uczeń mógł zapomnieć tak ważne twierdzenie. Jego wymagania z matematyki i fizyki stawiane młodzieży dawały wymierny skutek. Większość jego uczennic i uczniów zdawała egzaminy wstępne na studia techniczne i z powodzeniem je kończyła.

W sprawach wartości nie szedł nigdy na żaden kompromis, oceniał życie społeczno-polityczne kraju krytycznie, ale zawsze tą samą miarą. Nie lubił polity-

kierów i politykierstwa. Oburzał się, gdy widział u polityków granie interesami państwa. Był wielkim i szczerym patriotą dużej i małej ojczyzny. Dla uczniów i uczennic stanowił wzór osobowy, był przykładem do naśladowania, uczył swoją postawą wobec życia i otaczającej go rzeczywistości. Należał do zanikającego pokolenia kierującego się w życiu honorem, prawdomównością, dotrzymywaniem słowa i obietnic. Był człowiekiem z klasą, mówiąc dzisiejszym językiem, autorytetem dla młodzieży, ucząc ją nie tylko matematyki i fizyki, ale również miłości do ojczyzny, regionu, majestatu przyrody i gór.

Był wielkim miłośnikiem swojej małej ojczyzny, lokalnym patriotą, chociaż rodowitym limanowianinem nie był. Jego postać związana jest z Limanową, gdzie spędził prawie całe swoje życie. Cieszył się każdym sukcesem Limanowej i jej mieszkańców. Był zaangażowany w propagowanie turystyki na Limanowszczyźnie. Po latach poświęcił jej swój album fotograficzny zatytułowany: „Ziemia Limanowska światłem malowana...”

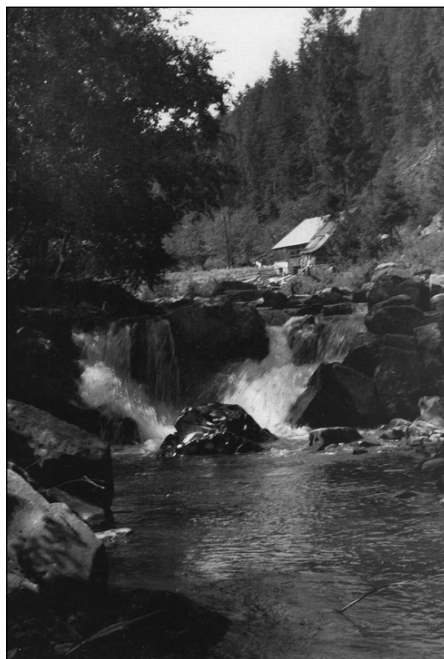
W celu ukazania piękna kraju i regionu, organizowania wypoczynku oraz zapoznania się z historią kraju i regionu organizowano w szkołach szkolne koła turystyczno-krajoznawcze. Jedną z najstarszych organizacji szkolnych było



► Szkolne Koło Turystyczno-Krajoznawcze przy Liceum Ogólnokształcącym w Limanowej, założone w październiku 1949 roku, którego pierwszym opiekunem był nauczyciel geografii Wilhelm Tabor, zaś następnym nauczyciel matematyki i fizyki Józef Staniszewski, aż do roku 1967. Organizacja ta wniosła znaczny wkład w poznanie kraju i organizację czasu wolnego młodzieży liceum. Działalność jej przejawiała się w organizacji wycieczek, obozów wędrownych, udziału w rajdach i w zlotach. Kochał Pieniny, Gorce, Beskidy, a zwłaszcza Beskid Wyspowy, wędrował po nich wraz z młodzieżą, ucząc swoich wychowanków miłości do gór, szacunku do przyrody.

Wszedł w skład pierwszego zarządu Oddziału PTTK w Limanowej powstałego 11 listopada 1961 roku, jako wiceprezes. Oddział PTTK położył duże zasługi dla rozwoju idei krajoznawstwa i turystyki w regionie limanowskim. Ponadto był: członkiem Komisji Młodzieżowej, przewodniczącym Terenowego Referatu Weryfikacji GOT, aktywnym członkiem Komisji Turystyki Górskiej, przodownikami GOT, członkiem Komisji Krajoznawczej i Opieki nad Zabytkami. Komisja ta pełniła rolę Rady Muzeum Ziemi Limanowskiej PTTK, dokonała inwentaryzacji i oznakowania tablicami informacyjnymi wszystkich zabytków Ziemi Limanowskiej. Niezaprzeczalną zasługą Komisji było powołanie Muzeum Regionalnego Ziemi Limanowskiej administrowanego przez PTTK do 1987 roku. Bywało, że z wędrowek po Ziemi Limanowskiej przynosił liczne pamiątki przekazywane następnie do muzeum.

Józef Staniszewski był zauroczony pięknem Limanowej i jej okolic. Aby je uchwycić, odkryć dla innych i ocalić od zapomnienia, w latach sześćdziesiątych zdecydował się na uprawianie fotografii. Odtąd we wszystkich podróżach i wycieczkach towarzyszyły mu zawsze aparaty fotograficzne. Specjalizował się w fotografii czarno-białej, jej sztukę opanował do perfekcji. Był mistrzem fotografii czarno-białej. Jego fotografie wydobywały niezwykle walory górskiej przyrody i stanowiły swego rodzaju dzieła sztuki. Wybierając temat zdjęcia, starał się uchwycić i utrwalić okrucy piękna, na które był bardzo wrażliwy. Oglądających i podziwiających jego fotografie pragnął uczyć i zarazem pobudzać do refleksji. Sam opracowywał zdjęcia począwszy od



Wodospad na Kamienicy Gorczańskiej.

utrwalenia na kliszy aż do uzyskania dużych pozytywów, pragnąc dowieść, że fotografia czarno-biała może w wielu przypadkach lepiej opowiedzieć o świecie aniżeli kolorowe zdjęcia. Swoją pasją zaraził wielu uczniów, którzy za jego przykładem parają się fotografią do dnia dzisiejszego.

W trakcie uczęszczania do liceum chodziłem na kurs fotografii zorganizowany przez niego i przez niego prowadzony. Objaśniał nam tajniki fotografii, od zaplanowania zdjęcia, utrwalenia na kliszy, aż do obróbki. Pod jego okiem wybieraliśmy tematy do zdjęć utrwalane następnie na kliszach w trakcie rajdów i obozów wędrownych prowadzonych wraz z prof. Andrzejem Gibasem. Pamiętam wystawę naszych fotografii wykonanych na obozie wędrownym zorganizowaną przez niego w liceum wkrótce po zakończeniu wakacji.

Był organizatorem wielu rajdów i obozów wędrownych. Wraz z uczniami wędrował szlakami od Kotliny Kłodzkiej, przez Tatry, aż po Bieszczady ukazując piękno przyrody, uroki gór, unikane miejsca i zakątki. Fascynował się drewnianymi kościółkami, przydrożnymi kapliczkami i krzyżami, świątkami, szałasami górskimi i regionalnymi chałupami. Wiele z nich utrwalił na negatywach, dzięki czemu przetrwały na zdjęciach. Uczestniczyłem w jednym z takich obozów zorganizowanym w sierpniu 1967 roku na zakończenie kursu organizatorów tury-

styki. Szliśmy z Bochni do Zakopanego. Wspominam go jako wspaniałą przygodę z górami dzięki właśnie prof. Staniszewskiemu i prof. Gibasowi. Po drodze odwiedziliśmy ciekawych ludzi, twórców ludowych, stare chałupy, górskie izby, oglądając ich wystrój i wyposażenie. Podziwialiśmy architekturę wiejską i sakralną. Odnosiłem wrażenie jakby profesor przeczuwał, że już za kilkadziesiąt lat one bezpowrotnie znikną z polskiego krajobrazu.

W czasie wędrowek po górach i stokach można było rozmawiać z nim na różne tematy. Był dowcipnym, pogodnym i wesołym towarzyszem na górskich szlakach. Pamiętam, jak żartując polecił jednemu z moich kolegów odmieniać przez przypadki: orangutan. Chodziło mu o wołacz, bowiem niekiedy uczniowie się mylili mówiąc: o rany gutany, co wywoływało u niego rozbawienie. Będąc w dobrym humorze, nucił sobie ówczesne szlagiery. Przypominam sobie jak na jednym z rajdów podśpiewywał „Balladę bieszczadzką”, akcentując jej refren: mój koń, mój koń, mój koń, polubił siana woń. . .

Od roku 1966 zaczął wystawiać swoje prace i brać udział w konkursach fotograficznych, co zaowocowało licznymi nagrodami (w roku 1984 otrzymał I nagrodę w konkursie „Moje miasto Limanowa”). Za fotograficzne dokonania był wielokrotnie nagradzany. Miejska Biblioteka Publiczna w Limanowej zorganizowała pięć wystaw jego autorstwa: *Wędrowki fotograficzne po Ziemi Limanowskiej*, *Fotografie rzeźb Szczepana Szubryta*, *Poemat wierzbowy*, *Felietony fotograficzne*, *Kapliczki*, *świątki*, *krzyże przydrożne*. Jego zdjęcia ozdabiają Muzeum Regionalne Ziemi Limanowskiej i Miejską Bibliotekę Publiczną, a także znajdują się w posiadaniu prywatnych kolekcjonerów. Na jego fotografiach przeważała tematyka przyrodnicza i ciekawe elementy krajobrazu kulturowego. W chwilach szczególnych uniesień pisał wiersze poświęcone pięknu krajobrazu, otaczającym go górom i związanym z nimi refleksjom.

Fotograficznej pasji Józefa Staniszewskiego towarzyszyło zainteresowanie sztuką ludową, której stał się kolekcjonerem. Gromadził wspaniałe okazy: od przydrożnych kapliczek, świątków, rzeźb ludzi i zwierząt, po wycinanki i malarstwo na szkle. Będąc u niego w mieszkaniu czułem się tak jak w muzeum. Zewsząd otaczały



Józef Staniszewski wykonał pełną dokumentację fotograficzną limanowskiego kościoła.

mnie eksponaty w postaci świątków, rzeźb, kapliczek, obrazów i zdjęć. Pamiętam jak w połowie lat 80. ubiegłego wieku na jego prośbę pojechaliśmy do Szczepana Szubryta, gdzie wykonywał zdjęcia jego rzeźb. Wypytywał go szczegółowo o technikę ich wykonywania, wybór tematów, szkice i plany na przyszłość. Znał wielu gawędziarzy i ich opowiadania jak to drzewiej bywało i jak w dawnych czasach żyli ludzie. Przyjaźnił się z Walentym Gawronem.

Pod koniec lat 80. ubiegłego wieku udaliśmy się obaj do Szczawy, aby wziąć udział w święcie żołnierzy 1. pułku strzelców podhalańskich. Obserwowałem, jak w skupieniu wybierał miejsce i temat do fotografowania. Widząc go tak zaabsorbowanego wykonywaniem zdjęć, chciałem w tym momencie uchwycić go w swoim aparacie. Kiedy już miałem nacisnąć migawkę ogłędnał się nagle i spojrział na mnie karcącym wzrokiem. Odstąpiłem, więc od wykonania jego zdjęcia.

W czerwcu 1988 roku na zjeździe klasy XI c z okazji 20-lecia zdania matury pełnił obowiązki wychowawcy naszej klasy z racji nieobecności dr Piotra Chmiela. Przejęty swoją rolą dobrze wykonywał swoje zadanie pytając każdego z nas o życiowe sukcesy i porażki. Miałem wrażenie jakby to wszystko przeżywał. W trakcie naszych spotkań wypytywał mnie prawie zawsze o wszystko: o pracę naukową, dzieci, zainteresowania, znajomych itp. Umówiliśmy się jeszcze na 50-lecie liceum.

W ostatnią ziemską podróż wyruszył u schyłku wiosny, w czerwcowy poranek - 9 czerwca 1995 roku. Do końca miał nadzieję, że będzie mógł przybyć na 50-lecie liceum, spotkać się z byłymi uczennicami i uczniami. Miał im przecież tak wiele do powiedzenia. Niestety, nie zdążył. Wielu z wychowanków towarzyszyło mu w ostatniej drodze. Spoczął na cmentarzu komunalnym w swojej małej ojczyźnie. Bezsprzecznie należy do czołowych postaci tworzących historię limanowskiego liceum.

W celu podtrzymaniu pamięci o nim corocznie od 1995 roku organizowane są rajdy turystyczne szlakami Beskidu Wyspowego Jego imienia.

Limanova. Dzieje miasta tom II, 1945-1989, Kraków 2002

Ks. J. Bukowiec, Franciszkańska duchowość w życiu profesora Józefa Staniszewskiego, „Echo Limanowskie”, IX-X 2007.

J. Staniszewski, „Orka na ugorze” w: 50 lat I Liceum Ogólnokształcącego im. Wł. Orkana w Limanowej, Nowy Sącz 1995
Józef Staniszewski nie żyje..., „Echo Limanowskie”, wydanie specjalne 10. VI. 1995.

J. Sz. Wroński, Józef Staniszewski (1909-1995), „Echo Limanowskie”, VII-VIII 2003.

J. Bugajska, po raz dziesiąty będą przemierzać górskie szlaki, „Echo Limanowskie”, IX 2004.

Górale mają takie „jo”

- W ostatnim Pana filmie „Tischner – życie w opowieściach” pada stwierdzenie, że poczucie wolności wynika z pochodzenia z gór. Pan, jako limanowianin z urodzenia, ma to poczucie wolności?

- Jak najbardziej. Dla Tischnera ta góral ska „śleboda” to była podstawa, na której wiele budował. „Zatonie, zatonie piórecko na wodzie, ale nie zatonie nuta o ślebodzie” – te słowa były przypomina ne przez niego bardzo często. A sprawa jest głębsza. Bo górale mają takie „jo” – rodzaj poczucia własnej godności, hono ru, który jest istotną częścią tożsamości podhalańskiej. I ja, wychodząc z tego śro dowiska, z tego regionu, też niosę poczu cie własnej wartości i wiarę w to, że wszystko będzie dobrze, że jak Pan Bóg piorunem w chałupę nie strzeli, to cała reszta jest w naszych rękach, życie jest w naszych rękach.

- To jest filozofia życiowa, której się Pan trzyma?

- Jak najbardziej, cały czas. Dlatego ks. Tischner od początku był mi bliski. Od najdywałem się w tym jego widzeniu świata, w poczuciu, że świat ma sens, że jak chcesz, to możesz. Odpowiadała mi jego pochwała myślenia, to że trzeba się otwierać na świat, na drugiego człowie ka. Zresztą inne moje filmy też coś takiego właśnie niosą. To wynika z mojej natury, z przekonania, że warto myśleć optymistycznie.

- Kiedyś powiedział Pan nawet, że tę pozytywną życiową energię wyniósł Pan właśnie z dzieciństwa i z tego miasta.

- W jakiś sposób żyję energią wyniesioną stąd. Ale nie przesadzałbym z tym. Wyjechałem z Limanowej 20 lat temu i całe moje dorosłe życie związane było z innymi miastami i z innymi ludźmi. Oczywiście nigdy nie miałem żadnych kompleksów związanych z miejscem urodzenia. To na pewno zasługa środowiska, w któ rym się wtedy, w czasach dorastania obracałem. Byli to ludzie otwarci, dowcipni, z artystyczną duszą i z wielką ochotą do życia, i tacy są zresztą do dzisiaj. Wiesiek Dudek, Paweł Baluta, Halina Ryś, Kinga Markowska, Marta Pajor, można by jeszcze wymieniać, to znajomości, do których się z sentymentem wraca. Ale na to kim jest człowiek i jaki jest, składa

się też rodzina, osobowość. Moi rodzice zawsze mieli pozytywną energię, lubili się zabawić, pośpiewać i ja też taki jestem. Myślę pozytywnie, takie myślenie do mnie trafia, a podhalańska natura na pewno w tym pomaga, ale to nie znaczy, że to jest klucz do wszystkiego.

- Do Limanowej często Pan przyjeżdża?

- Nie specjalnie często, ale buduję tu jakąś „kotwicę”, może miejsce na emeryturę.

- A koledzy z lat szkolnych?

- Te kontakty się urwały. Długo mnie tu nie było, a i teraz zbyt rzadko tu zaglądam, żeby to mogło jakoś funkcjonować. Poza tym poszliśmy zupełnie innymi drogami i każdy ma swoje życie. Ale część znajomości została, nawet nie z lat szkolnych, ale powiedzmy, z czasów bujnej młodości.

- Na „naszej klasie” znajomi Pana nie znajdują?

- Nie, nie. Nie „bawię się” w takie rzeczy.

- Za to „bawi się” Pan reżyserią. „Anioły” i „Tischner” mają chyba wspólny mianownik?

- „Anioł w Krakowie” powstał tuż po śmierci ks. Tischnera i jest mu dedykowany. Opowiada historię zesłanego na ziemię anioła, który poznaje kobietę. Okazuje się jednak, że wobec śmierci nawet on nie może sobie poradzić. Dziewczy na umiera, ale my pokazujemy, że trzeba żyć dalej, dalej szukać szczęścia. I to na pewno jest z ducha tischnerowskie. Zresztą w naszym filmie biograficznym „Tischner – życie w opowieściach” jest taki archiwalny fragment, kiedy on sam mówi o drodze do szczęścia, która nie polega tylko na tym, żeby czuć się dobrze, gdy wszystko się udaje. Ale by nie tracić nadziei, kiedy nic się nie udaje, nawet w cierpieniu, cierpieniu tak wielkim, że traci się wiarę w jego sens. I to jest tzw. „droga sprawiedliwego”.

- Ale pod koniec ks. Tischner mówi, że śmierć to pomysł diabła...

- ... a Bóg wymyślił życie. Bóg wymyślił miłość, która z życia się bierze i z której życie się bierze. Mocna jest miłość, mocniejsza jako śmierć. Bardzo piękne, przejmujące i, jak to u Tischnera, pełne pozytywnej energii słowa.



13 grudnia 2008 roku w limanowskim Domu Kultury miała miejsce prapremiera filmu „Tischner – życie w opowieściach” z udziałem twórców Arturem „Baronem” Więckiem (pierwszy od lewej) oraz Witoldem Beresiem (z prawej). Pośrodku Stanisława Obrzut – dyrektor LDK oraz Marian Wójtowicz prowadzący spotkanie.

- Cierpienie nie uszlachetnia, stwierdził ks. Tischner, zmagając się z ciężką chorobą.

- Tak podobno tuż przed śmiercią powiedział. A jednak był mistrzem cierpienia. I do końca wierzył.

- Kiedyś mówił Pan, że bohater pozytywny to najnudniejszy bohater.

- Najtrudniej ciekawie go „zrobić”, ale jak się już uda, to jest to najmilszy prezent i gwarantowany sukces. Bo taki bohater dobrze działa na ludzi i ta pozytywna energia wraca do twórcy.

- „Anioł” nie był filmem komercyjnym.

- A jednak obejrzały go miliony ludzi. To ile radości nam przyniósł, ile radości dał innym – takiej frajdy żaden film komercyjny by nam nie dał. Może uczyniłby mnie deczko bogatszym, może zrobiłbym sobie ogrodzenie z kamienia wokół domu, ale wolę żyć bez tego ogrodzenia i patrzeć na uśmiechnięte twarze ludzi.

- Producenta Witolda Beresia dziś w Limanowej nie ma, bo podobno zdobywa już jakieś środki na nowy film. Nad czym teraz Panowie pracują?

- Chcemy zrobić kolejny film fabularny. Mamy kilka projektów. Jednym z nich jest adaptacja książki Beaty Pawlak – dziennikarki, która zginęła w zamachu terrorystycznym na Bali. Przed wyjazdem zostawiła w wydawnictwie książkę. To opowieść o kobietach, ale i o śmierci...

- *Mowa o „Aniolku”?*

- Tak. U nas ten film nazywa się „Wszystkie kobiety Mateusza”. To opowieść o tym, że ci, którzy umarli, tak naprawdę nigdy nie odchodzą. Opowieść trochę magiczna – połączenie dwóch rzeczywistości – życia ziemskiego i pozaziemskiego, metafizycznego. W tle jest miasteczko, które żyje swoim życiem, ale pewnego dnia, za sprawą człowieka, który umarł, ale żyje w snach kobiet, wszystko wywraca się tam do góry nogami. Film jest dość oryginalny i niełatwy jeśli chodzi o zgromadzenie funduszy.

- *Miasteczko będzie Limanową?*

- Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, to zdjęcia będą w Myślenicach.

- *I znów pojawi się motyw miłości, śmierci...*

- Bo ja lubię takie rzeczy nie wprost, trochę w cudzysłowie, które mówią o rzeczywistym życiu, ale ukazują go z innej perspektywy, z jakiegoś dystansu.

Tekst i fot.: Jolanta Bugajska



Artur „Baron” Więcek – ur. 10 maja 1967 r. w Limanowej. Współtworzył i zrealizował pierwszą serię „Rozmów na koniec wieku”. Reżyserował „Archiwum polskich wydarzeń kulturalnych”. Jest współscenarzystą filmu telewizyjnego: „W tym domu nie straszy” i serialu animowanego „Kleofas w świecie kapitalizmu”. Od kilkunastu lat współpracuje z dziennikarzem i producentem Witoldem Beresiem. Jest reżyserem i współtwórcą filmów: „Goralenvolk”, „Jegomość Tischner i jego filozofia po góralsku”, „Anioł w Krakowie”, „Zakochany anioł”, „Dowódca Edelman” i „Tischner – życie w opowieściach”.

(dokończenie ze strony 18)

Rektor bez karakułów

Zaszczyt, ale...

Po sukcesach wydziału Antoniego Tajdusia zaczęto forsować na rektora.

- Stwierdziłem, że nie jestem do tego przygotowany. Aby zapoznać się ze specyfiką pracy, przyjąłem funkcję prorektora ds. ogólnych. Nie ukrywam, że okres trzech lat pozwolił mi przyjrzeć się uczelni z poziomu zarządzania.

W 2002 r. odbyły się kolejne wybory. Tym razem wcześniej prowadził rozmowy, przedstawiając swoją wizję uczelni. Mimo że miał silnego przeciwnika, został wybrany. Obiecał rozbudowę uczelni, budowę basenu, hal sportowych i ... wszystko udało się zrealizować. Do kolejnych wyborów podszedł bez emocji. Nie prowadził wcześniej żadnych rozmów, nie przedstawiał swej koncepcji.

- Pomyślałem sobie, że jeśli będą chcieli mnie wybrać, to wybiorą. A jeśli nie, to mam pracę naukową, więc mam się czym zająć.

A jednak odniósł prawdziwy sukces. Zdobył 97 procent głosów, na 200 osób tylko 7 było przeciwnych. W październiku 2008 r. zaczął czteroletnią kadencję.

- To oczywiście wielki zaszczyt. A jednak z drugiej strony ubolewam, że nie mam przez to czasu na pracę naukową. Mogę na nią poświęcić najwyżej godzinę, półtora dziennie.

Jest specjalistą od budownictwa podziemnego, geomechaniki, geotechniki, zastosowania informatyki w geotechnice. Praca badawcza ustąpiła miejsca zarządzaniu.

- Uczelnia ma 35 tys. studentów, jej budżet sięga 500 mln zł. Rocznie opuszcza ją 7 tys. absolwentów, z których większość bez problemów znajduje pracę. To po prostu ogromne przedsiębiorstwo.

Rektor Tajduś działa też w kilku radach nadzorczych, w tym jest szefem rady nadzorczej w firmie energetycznej Tauron. Jest również przewodniczącym Konferencji Rektorów Polskich Uczelni Technicznych. Czas, czas, czas, tego ciągle mu brakuje.

Nie wygląda na rektora

Kiedyś w Tymbarku poszukiwał ludzi do wykopania rowu. Chciał ziemią przeciągnąć kable do swego domu. Nikt nie był zainteresowany pracą. W tej sytuacji sam przebrał się w roboczy strój i zaczął kopać. Mżył deszcz, był więc obłocny. Podjechał samochód. Wychyliła się elegancka kobieta:

- Szukam rektora Tajdusia.

- Czym mogę służyć? – zapytał uprzejmie.

Kobieta spojrzała ironicznie na umorusanego błotem, stojącego w kopanym rowie mężczyznę i tylko prychnęła:

- Eee, głupi.

Twardy charakter

Antoni Tajduś jest bardzo naturalnym człowiekiem, nie wygląda na Jego Magnificencję. Jeśli jest potrzeba, przebiera się w roboczy strój i pracuje fizycznie, by za chwilę, jak mówi „ubrać karakuły” i być rektorem.

Do rodzinnego Tymbarku stara się przyjeżdżać na każdą sobotę i niedzielę.

- Jestem zakochany w Ziemi Limanowskiej. To piękny zakątek, z którym emocjonalnie się związałem. Poza tym, gdy na weekend zostaję w Krakowie, myślę bez przerwy o uczelni. A to miejsce działa tak, że sprawy Akademii schodzą na dalszy plan.

Dwa razy w tygodniu gra w tenisa z pełnym zaangażowaniem i zaciętością. Zawsze walczy o zwycięstwo. Jak zauważa, ludzie na Limanowszczyźnie są twardzi, uparci i wytrwali w dążeniu do celu. Tak też został ukształtowany.

- Dla mojego ojca nie było rzeczy niemożliwych. Przejąłem to po nim. Jak coś powiem, obiecuję, to muszę to zrobić. Mam siłę, zaciętość i umiejętność zaszczepiania innym swoich wizji, tak aby później włączyli się w ich realizację.

Jest styczeń 2009 r. Może za kilka lat ktoś napisze: kto wtedy mógł przypuszczać, że rektor AGH Antoni Tajduś zostanie kiedyś... Ale to już inna historia.

Tekst i fot.: Jolanta Bugajska

KREDYT

„EKSPRESOWA GOTÓWKA”



**transakcja „od ręki”
bez zbędnych formalności
bez poręczycieli
przeznaczenie kredytu – cel dowolny
bez dodatkowych zabezpieczeń**

www.bs.limanowa.pl

ul. Rynek 7; 34-600 Limanowa; tel. 018 33 79 100; fax 018 33 79 136

NAJWIĘKSZY W LIMANOWEJ SKŁAD MATERIAŁÓW BUDOWLANYCH



ROZCZĄŁOWANIE 1987

ul. Piłsudskiego 14 • Limanowa
tel. (018) 33 74 127



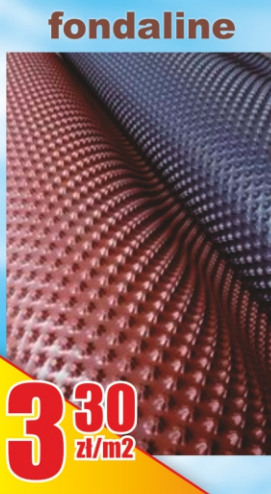
Izohan Izobud WL
dyspersyjna masa asfaltowo
- kauczukowa do izolacji dachów
i fundamentów



Akrylowa farba emulsyjna do wnętrz
o podwyższonej odporności na szorowanie
(kolor) Dekoral Akrylit W



Gładz gipsowa Knauf
uniglat 20 kg



Fondaline
- folia kubelkowa
wysokość:
1m, 1,5m, 2m, 2,5m



Ursa termopian xps

system dociepleń



www.impuls.limanowa.pl

PROMOCJA

PROMOCJA